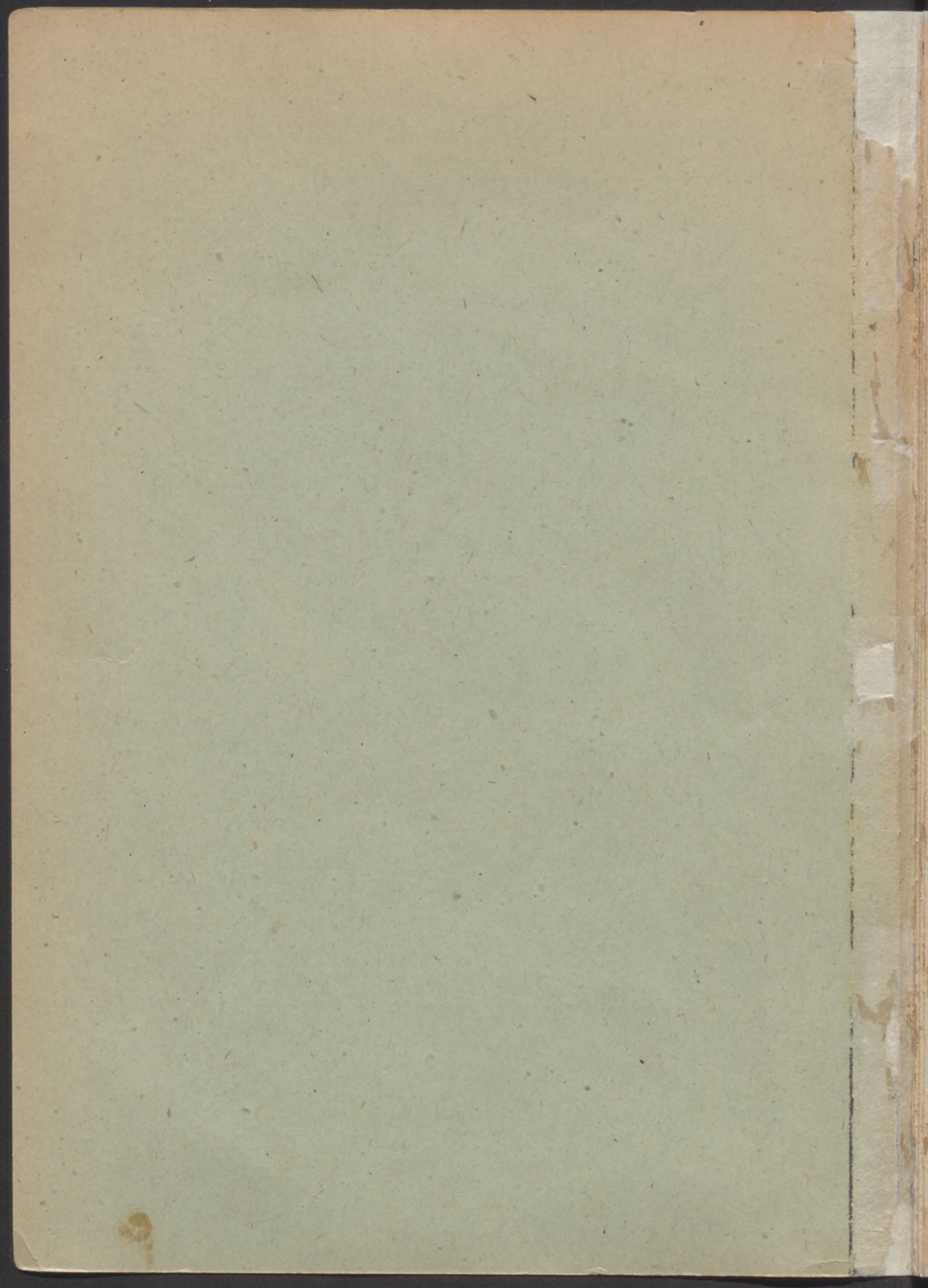


Czarna galera
(Die schwarze Galeere)

W I L H E L M R A A B E



WILHELM RAABE

Czarna galera

(Die schwarze Galeere)

TLUMACZYŁ
MIECZYSLAW LURCZYŃSKI

ZJEDNOCZENIE POLSKIE NA STREFE BRYTYJSKA
HANNOVER — 1948

W PRZYGOTOWANIU:

R. L. Stevenson — WYSPA GŁOSÓW
(The Isle of Voices) — Tłumaczył M. Lurczyński.



Schlütersche CDH 8I Hannover, 4948/1000, 2. 48, Kl. C.

Printing Permission PR/ISC Regional Staff

W. 859/86

594211

Na wałach fortu Liefkenhoek

Była ciemna burzliwa noc pierwszych dni listopada 1599 roku, gdy hiszpański sztydłwach fortu Liefkenhoek, leżącego na flandryjskim brzegu Szeldy, podniósł alarm i bębny wywołały całą śpiącą załogę — dowódców i żołnierzy — na wyznaczone im zgóry miejsca na wałach.

Podnosiły się fale Szeldy, rzucając gęsto rozpryskiem piany w twarze przemarzłych południowców, stojących na blankach twierdzy: Ostro gwizdał północno-wschodni wichur, idący z „Prowincyj“, skąd, o czym Hiszpanie wiedzieli od dawna, rzadko przychodziło coś dobrego.

Również w forcie Lillo po brabanckiej stronie rzeki były już bębny i huczał róg: wyraźnie słyszeć się dawał poprzez huk burzy i szum wody daleki grzmot armat, który oznaczać mógł tylko bitwę okrętów na zachodniej Szeldzie.

„Morskie włóczęgi¹⁾“ ponawiały swą starą grę.

Cóż mogła obchodzić burza i ciemność ten ród amfibij. Czyż nie były sztorm i noc najlepszymi ich towarzyszami? Czyż zdarzyło się kiedykolwiek, aby morski włóczęga przestraszył się burzliwego morza i ciemności, jeżeli one służyły mu do okpienia wroga, do zniszczenia swych śmiertelnych nieprzyjaciół, pustoszycieli i ciemniźcyieli ojczyzny, którą on zdołał wydrzeć falom morza?

Okropnie jednak odmienił się przebieg wojny.

Trzydzieści dwa lata trwało już to przerażające przepychanie się walczących partyj, a jeszcze nie sposób było dojrzeć końca walki. Wzeszło bójnie nasienie zębów smoczycy, w pełni wzrosły ze zroszonej krwią ziemi zastępy żelaznych mężów, i nawet kobiety musiały zapomnieć, co ludzkością zwie się lub dobrocią. Przyszło młode pokolenie, które chociażby dlatego nie tęskniło za pokojem, że nie znało go już zupełnie.

Lecz, jakkolwiek okropną była walka na lądzie, o wiele straszniej działo się na morzu. Na lądzie, wzięci w plen, mogli być jeszcze wymieniani lub wykupywani; — miasta, osady i wsie mogły wykupić się przed ogniem i rabunkiem, na morzu jednak nie było już od dawna pardonu ni okupu. Za dowód miłosierdzia uważało się, gdy jeńców przeciwnej strony bez długich namysłów zakluwano lub wieszano na rejach, nie torturując ich przedtem w najokropniejszy sposób, gdy ich nie krzyżowano na pokładzie, by wraz ze zdobytym okrętem zatopić.

Z troskliwą uwagą przysłuchiwali się kanonadzie z wałów fortu Liefkenhoek dowódca i żołnierze, dzieląc się między sobą swymi domysłami. Ten miał takie mniemanie o walczących, ów inne; lecz wkońcu, najpierw cicho, potem już pewniej i głośniejsz z ust do ust, między żołnierzami, zaczęła krążyć nazwa:

„Czarna galera! Znowuż czarna galera!“

Kazdy wymawiał to słowo z trwogą i tajemniczym ściśnieniem serca:

„Czarna galera.“

Około godziny pierwszej uciszył się wiatr, a jednocześnie umilkła i kanonada; lecz w dwadzieścia minut później daleko, daleko na hory-

¹⁾ Die Wassergensen — pogardliwa nazwa powstańców flandryjskich.

zonce, wypłomieniło się nagle krwawo na podobieństwo błyskawicy ponad czarnymi wodami; błysk ten przebiegł poprzez setki brodatych, dzikich postaci na murach Liefkenhoeku i Lillo; a w pół minuty później za owym zjawiskiem świetlnym nastąpił głuchy odgłos większej eksplozji, po której walka wydawała się dobiec do końca, na podobieństwo katastrofy, kończącej przebieg tragedii. Nie widziano i nie słyszano już żadnych ruchów, świadczących iż coś się jeszcze dzieje. Chociaż załoga hiszpańskiego umocnienia długo jeszcze trwała w pogotowiu, nadsłuchując, nie przejęła już żadnego odgłosu strzału.

„A więc, co sądzicie o tym, señnor Jeronimo?“ spytał dowódca Liefkenhoek jednego ze swych kapitanów, starszego zawiedzionego mężczyznę z posiwiałymi już włosami i brodą, i pokrytego od stóp do głów szramami po zagojonych ranach.

Zapytany, spoczywający dotychczas trochę z boku od swych kolegów, na parapecie muru, wzruszył ramionami:

„Nie pytajcie mnie o to, panie. Na Boga i Świętą Panienkę, nie chciałbym już bez potrzeby gmerać w tym, co nam ta wojna przynosi. Choć pancerz mi prawie przywarł do skóry, straż swą będę trzymał aż do ostatniego dnia; — lecz nic więcej poza tym.“

„Nie bądźcie tak nieuprzejmi, Jeronimo“, rzekł do starego wojownika o wiele młodszy od niego dowódca, niedawno przybyły z Kastylii do Niderlandów ażeby objąć władzę w formie tym nad Szeldą.

„Pułkowniku“, odrzekł kapitan Jeronimo, „od wielu długich lat przebywam już tu, na tym krańcu ziemi, patrząc na przepływające fale. Wy jesteście młodzi, pułkowniku, lecz wasz poprzednik był również młody i również wielkiego serca. Tu stał on, koło mnie, na tym-że miejscu, na którym wy stoicie, pełen młodzieńczych marzeń i nadziei zwycięstwa. Teraz leży on tam pod falami, a tego który był przed nim trafiła kula pod Turnhout; on sądził też, że powróci z wieńcem zwycięzcy na skroniach do swego zamku i swej młodej żony — do Tarata — tak! A teraz obliczam na swych palcach lata minione aż do roku 1585, w którym powróciłem z Madrytu; señnor, wierzyłem wtedy również że osiągniemy zwycięstwo i chwałę w tej wojnie. Jak ja przeliczyłem się wtedy ze swą wiarą, tak i wy rozczarujecie się, pułkowniku, o ile Bóg wam życia dalszego użyje.“

„Zaiste, posepny z was marzyciel, kapitanie. Lecz powiedzcie mi jednak, wszak byliście w tym pamiętnym roku w Madrycie?“

„Tak.“

„W tym pamiętnym roku, w którym nasz wielki książę odzyskał dla nas Antwerpie?“

„Tak.“

„To należy przypuszczać żeście wkroczyli do miasta jako zwycięzca razem z Aleksandrem Farnese? O, wy, szczęśliwczel!“

„Nie“, odpowiedział stary równie posepnie. Nie należałem do pochodu triumfalnego; dano mi inne zlecenie, którego mi w obozie wówczas bardzo zazdrozczono. Byłem wysłannikiem naszego dzielnego księcia, który polecił mi, abym o zdobyciu miasta zawiadomił don Filipa — niechaj Bóg łaskaw będzie jego duszy.“

„Wy? Wy, kapitanie Jeronimo, wam dozwolone było zanieść poselstwo to królowi? — o, potrzykroć szczęśliwy. Proszę, opowiedzcie nam o tym, wszak nie możemy i tak przed czasem wałów tej opuścić.“

Inni oficerowie załogi zbliżyli się w trakcie trwania tej rozmowy ku dowódcy i jego towarzyszowi; teraz utworzyli wokół obydwu krąg

uważnych słuchaczy. Nie zdarzało się zbyt często aby starego Jeronimo skłoniono do opowiadania.

„Cóż tu jest do mówienia?“ zaczął kapitan. „W noc z czwartego na piątą września 1585 roku zatrzymałem moją zdyszanaą szkapę przed zamkiem madryckim — jestem dzieckiem tego miasta i mogę was w pełni zapewnić, moi panowie, że serce me mocno biło, gdym usłyszał znowu szum Manzanaresu. O szmerze jego często śniłem, gdym leżał przedtem w szpitalu polowym, chory na gorączkę z otrzymanych ran. I osiągnięty cel, dumne poselstwo, które niosłem ze sobą, oczekiwanie na czarodziejską, zapłatę o której marzyłem, zmuszały moją krew do żywszego w żyłach krążenia. Ciemności i śmiertelna cisza zaległy zamek i miasto; poprzedniego dnia, jak się dowiedziałem następnie, było wielkie autodafé i ludność odsypiała wrzawę i ruch odbytych uroczystości; wszystko spało, nawet król don Filip. Straże zniżyły swe dzidy ku mojej piersi w momencie, gdy wyczerpany mój rumak padał pode mną na dziedzińcu. Podobnie jak mój koń byłem ogromnie wyczerpany ostatnią mą dziką jazdą, zdołałem jednak znaleźć w sobie dość siły by wykrztusić: „Listy z Flandrii! Listy do króla! Listy od księcia Aleksandra Parmeńskiego! Viktoria!“ Opuszczono broń, dworzanie pospieszyli naprzeciw, wypytując mnie i wiodąc poprzez korytarze zamkowe do sypialni naszego pana. Serce moje drżało podobnie jak moje śmiertelnie zmęczone członki. Wszystko tańczyło przed mymi oczyma gdym przykleknął przed łożem królewskim w sypialnej komnacie króla, aby mu wręczyć list wielkiego księcia. Na swym łożku wsparty, złamał nasz pan, don Filip, pieczęć pisma, przebiegł je swymi badawczymi, nieco przestraszonymi oczami — szambelan trzymał złotą lampę — nie zapomnę nigdy oblicza królewskiego, owego drżenia, które przebiegło żółtawo-blade rysy. Wysoko uniósł się król na swej łożnicy, wychudły i osłabiony, i zawołał głosem, który prawie że był krzykiem.

„Antwerpia wzięta! Antwerpia wzięta!“

Lampa w ręku dworzanina poczęła drżeć. Król podniósł się z łoża i wsparł się, całkiem wbrew etykietcie na mym ramieniu, ramieniu prostego, pokrytego kurzem i potem żołnierza. Szlachetni panowie zarzucili mu płaszcz na ramiona; — od czasu wiadomości o zwycięstwie pod Lepanto, nie trafiła do ucha królewskiego tak radosna wieść. Poprzez korytarze zamku pospieszył szybkimi krokami ku drzwiom swej najbardziej kochanej córki, donny Klary Izabelli Eugenii, zapukał — cóż znaczyła dla jego Katolickiej Mości etykieta w tym momencie? — zapukał stojąc pod księżniczki drzwiami, uchylił je, wsunął głowę do komnaty i wyszeptał ku ogłuszonej jeszcze snem, przerażonej córki:

„Antwerpia jest zdobyta; Antwerpia jest zdobyta, donna Klara!“

„Jakże poruszył się cały zamek, gdy rozszerzyła się wielka wieść“ ...

„A wy? Wy, sennor Jeronimo? zapytał dowódca fortu Liefkenhoek swego kapitana. „Jaka była wasza nagroda za to radosne, wspaniałe poselstwo?“

„Słusznie, jakaż była wasza nagroda, Jeronimo? Czyż nie staliście się rycerzem orderu Kalatrava?“ pytali inni oficerowie.

„Nie, nie jestem kawalerem orderu Kalatrava“, odpowiedział stary wojownik. „A co tyczy się mej zapłaty, to Jego Katolicka Mość zawiesił na mej szyi złoty łańcuch; poza tym dano mi także patent pułkownika.“

„O!“ zawołał dowódca, a inni oficerowie przysunęli się znowu.

„Tak jest“, mówił stary, „pojmuję w pełni, co wasze spojrzenia chcą powiedzieć, sennor coronello; chcą one rzec: więc czemu stoicie

tu teraz jako mój podwładny, jako biedny, zniedołężniały już trochę najemnik? Czyż nie jest tak?" pytał patrząc wkrąg. „Chciałbym więc was uprzedzić, iż właśnie miałem zamiar to opowiedzieć. Nastawcie wasze uszy, ludzie, dobrą naukę można w mej opowieści znaleźć. Trzynastego lipca 1591 roku rozbił książe Farnese swój obóz pod fortem Knodsenburgiem, naprzeciw Nimwegen, przystępując do oblężenia; lecz Gerhard de Jonge, niderlandzki dowódca był dzielnym człowiekiem i przyczynił nam krwawej roboty. Aby go wesprzeć pospieszył także Moritz von Oranien poprzez Arnhem do Betau i po założeniu zasadzki podsunął swe rekonensanse pod nasz obóz. Wyruszyło nas siedmiu chorążych wraz z hiszpańskimi i włoskimi kopijnikami przeciw nieprzyjacielowi. Mogę was upewnić że wszystko to byli dzielni rycerze; Franceso Nicelli, Alfonso Dovalés, Padilla, Jeronimo Caraffa, Decio Manfredi i inni. Księcia chorążych przybocznych ja prowadziłem tego dnia — który niechaj będzie przeklęty! Szliśmy przeciw nieprzyjacielowi, a ten pospiesznie cofał się do czasu, aż — znaleźliśmy się w pułapce i starci zostaliśmy do ostatniego człowieka. O Święty Boże, trzydzieści zasłużonych szram po ranach nosiłem na swym ciele, przy każdym spotkaniu bywałem skrwawiony, lecz tym razem — tym razem, gdy wszyscy towarzysze zabici legli lub ranni pokryli pole, ja jeden wyszedłem bez szwanku. Lecz księcia Parma zwycięski sztandar który dźwigałem, sztandar z wyrytym na nim Chrystusem i napisem: „hic fortium dividet spolia“, pozostał w rękę nieprzyjaciela! W ten sposób przepadła moja cześć wojenna. Następnego dnia zerwano mi złoty łańcuch, dany mi przez Don Filipa, miejsce moje otrzymał ktoś inny, szczęśliwszy; dozwolono mi jako zwykłemu zaciężnikowi zatracić się w pospólstwie; odrzuciłem swe nazwisko i przyjąłem służbę w jednym z niemieckich regimentów, szary i przygięty stałem się w ciągu jednej godziny. Kapitanem jestem znów pod mym przybranym nazwiskiem, będąc w ten sposób podwładnym waszym, dowódco, i, panowie, kolegą waszym — proszę więc nie strońcie ode mnie!“

Dowódca fortu Liefkenhoek uścisnął opowiadającemu dłoń, wstrząsając nią milcząco i serdecznie; również inni przystąpili bliżej by podać mu swe ręce.

„Basta!“ rzekł stary. „Cokolwiek by się czyniło, wszystko w końcu jednym się staje.“ Ileż blasku, czci i sławy widziałem wygastej — w Eskurialu śpi Don Filip II; w Parmie leży Wielki Książę Aleksander, — cóż stało się z Fernandó Alvarez z Toledo, księciem Alba? Gdzie przebywa nasz przeważający wróg Wilhelm Milczący? „Quo pius Aeneas, quo divus Tullus et Ancus?“ zaśmiał się młody chorąży, który właśnie uciekł z wyższej szkoły w Salamance; lecz nikt nie zwrócił nań uwagi i kapitan Jeronimo wiódł dalej: „Basta, koledzy; każdy czyni to co uważa za swój obowiązek, w ten sposób mniema iż staje się uczciwym człowiekiem; panie komendancie, kaźcie ludziom odłożyć broń. Tamta historia na morzu jest już skończona — Jego Katolicka Mość Don Filip III i Jego Genuńska Wspaniałość Signor Federigo Spinola mają o jeden dobry statek mniej. Pozwólcie ludziom iść spać, pułkowniku; wystarczy że rano będziecie znali bliższe i dalsze szczegóły historii.“

„Sądziacie, zwiastunie nieszczęścia? Ach, wasza diabelska niedola zbyt załamała wam całe męstwo. Zbierzcie odwagę, dzielny Jeronimo.“

Kapitan wzruszył ramionami.

„No, zobaczymy“, rzekł dowódca. „Kaź dać znak by opuszczono wały; potem będę was oczekiwał wszystkich, moi panowie, — nie za-

wadzi jeden kielich wina; i tak z was żaden już napewno tej nocy spać nie będzie. Odwagi, panowie, — i Hiszpania przede wszystkim!”

Oficerowie okrzyknęli ostatnie słowa swego dowódcy, czyniąc to jednak trochę ścisniętymi głosami. Potem uderzono w bębny i szeregi odeszły z wałów fortu Liefkenhoek.

Dowódca pozostał jeszcze przez chwilę, opierając się z westchnieniem łokciami o napierśnik muru i wspierając podbródek na swych rękach. Trwając tak, wpatrywał się w wodę i w noc otaczającą, szepcząc do siebie:

„On ma rację, jest coś bolesnego wokół tej wojny. Czternaście lat trzepoczę ponownie chorągiew hiszpańska na tych wałach i na murach i wieżach Antwerpii, czy jednak posunęliśmy się choć o krok w zwyciężeniu tego bohaterskiego, upartego narodu? Jacyż to ludzie już nie walczyli i nie krwawili na tej małej, podmokłej skibie ładu! Jacyż to ludzie nie walczyli o ten skrawek! Jak świetne gwiazdy błyszczały poprzez czas imiona przyjaciół i wrogów, nazwiska Aleksandra Farnese, Mansfelda, Mondragone, Johannes Pettin von Utrecht, Aldegonde, Gianibelli, Johannes Baptista, Plato, Barrai, Capisucchi, Olivera, Paz, La Motta, Delmonte i stu innych. A znów tysiące i tysiące nieznanych leży tam przysypanych piachem i przyplływem morza; — iluż utonie w nich jeszcze?”

Załoga odeszła już oddawna i nie słychać było nic więcej na wałach fortu Liefkenhoek prócz zawałów i stapań rontów, szumu fal i siły znowuż obudzonej burzy.

Jeszcze raz okrążył dowódca mury i surowo przykazał podwojnym strażom trzymać się na baczności! Potem zeszedł również i on nadół i wrócił do swego mieszkania gdzie już znalazł zebranych w oczekiwaniu oficerów, stosujących się do jego zaproszenia. Brakowało tylko kapitana Jeronimo, który skrupulatnie przestrzegał swego obyczaju świecenia nieobecnością przy biesiadach swych towarzyszy wojennych; pozwolono mu stronić, współczuto mu i śmiano się z jego przepowiedni.

Stary miał jednak słuszną! Istotnie w tę burzliwą noc stracili Jego Katolicka Mość i Fryderyk Spinola z Genui jeden dzielny okręt. Następnego ranka wyrzuciło morze zwęglone resztki Immakulaty Conceptione na diuny południowo bevelandzkie heretyckiemu narodowi pod stopy, a wieczorny przyływ przydźwigał więcej niż jedno okaleczone ciało ozdobione hiszpańską szarfą, do murów fortu Bat. Złe przeczucia kapitana Jeronimo były słuszne, po stronie włóczęgów morskich było zwycięstwo w nocnym pojedynku.

II

Na pokładzie Andrea Doria

Wiść o nocnym zdarzeniu przynieśli do miasta rybacy i wielka na skutek jej była, zależnie od przynależności do stronnictwa, tajemna radość lub głośna wściekłość ludności.

Wśród mieszkańców miasta rozbiegła się również szybko nazwa „Czarnej Galery“ i była z większym lub mniejszym prawdopodobieństwem związana z wydarzonym nieszczęściem.

Któż inny mógł uczynić to w taką noc burzliwą jak poprzednia jeżeli nie Czarna Galera?

Na placach, w uliczkach, w warsztatach, w kościołach, na ratuszu i w cytadeli słyszano tylko to słowo. Również bieгло ono wkrąg na wojennych i handlowych statkach, które stały na kotwicach przy moło, blisko domów i wałów mięjskich. Wszędzie, jak się to powiedziało, widziano przerażenie lub tajny triumf na twarzach.

„Czarna Galera! Czarna Galera!”

Federigo Spinola, szlachetny patrycjusz genueński, przedsiębiorczy syn sławnego rodu bogatej republiki, był tym który zawarł umowę z królem hiszpańskim Filipem Trzecim, służąc uzbrojoną flotą, przeprowadzoną na Morze Północne, Jego Katolickiej Mości przeciw niderlandzkiej rebelii. Cała zdobycz, wszystkie statki które zostały odjęte heretykom, stanowiąc miały własność admirała Federigo, jechał więc on ze znaczną ilością galer i galeon, z załogą szesnastuset śmiałych ludzi z Geni, poprzez cieśninę Gibraltar, mijając Kap Finisterre, przybierając w zatoce Biskaya większą liczbę awanturnych biskajskich piratów i kaprów, jak również dużą liczbę korsarzy z Dunkirchen, ażeby ukazać się 11 września 1599 w forcie Sluis, gdzie zarzucono kotwicę i skąd rozpoczęto działalność na obszar Morza Północnego.

Po raz pierwszy bite były fale Morza Północnego przez te romańskie, wiosłowe statki, którymi się dotychczas tylko mieszkańcy Śródziemnego Morza posługiwali. Z tego też poszło że z początku nawet odważni, niczego nie bojący się żeglarze nadmorscy przerażenie czuli przed nieznanym co szło od włoskich galer, które podobne potwornym wodnym chrząszczom były fale setką wiosłowych nóg.

W ten sposób zrobił z początku Federigo Spinola wyjątkowy interes, gdyż udało mu się wiele, często bogato załadowanych okrętów handlowych, rzadko tylko biednych łodzi rybackich, odjąć Niderlandczykom, dopóki pierwsze przerażenie tych ostatnich nie minęło, dopóki nie ośmielili się oni nowemu wrogowi odważnie w oczy zajrzeć. Liczną flotę przysłały Zjednoczone Stany i w jednym gorącym boju była nie tylko wielka ilość nieprzyjacielskich kaprów zniszczona, lecz również jedna ze strasznych galer ujęta.

W triumfie przyholowano znamieny okręt do Amsterdamu, gdzie według posiadanego modelu zbudowano podobny statek i obsadzono najodważniejszymi sercami i rękami. Groźnie czarna była jego farba, rychło też Czarna Galera stała się straszna dla Hiszpanów i admirała Federigo Spinola. Od tego czasu przedsięwzięcie Genueńczyków nie przynosiło już tak dobrych owoców jak to miało miejsce na początku.

Tak czy owak Czarna Galera nie była żadnym okrętem-widmem, statkiem-duchem, była przedmiotem z drzewa i żelaza a jej załoga nie składała się z upiórów. Twory z mięsa i krwi wdrapwały się po linach, rozwijały żagle, ładowały moździerze, wiodły ogień do lontów i zdobywały abordażem nieprzyjacielskie okręty wśród dzikiego krzyku:

„Lepszy Turek niż pop!”

O Czarnej Galerze plotkował lud po placach i uliczkach wielkiej kupieckiej Antwerpii i każdy z sąsiadów chciał wszystkie szczegóły znać o pogłosce, według której jakoby przedni statek Zwiastowanie ubiegłej nocy został przez wyśpiarzy wysadzony w powietrze.

Zwolna przybliżał się wieczór; gęsta mgła podniosła się z Szeldy pokrywając całą Antwerpię. Światła na molo przeblyskiwały czerwienią poprzez wilgotne wyziewy, krople wody kapały z olinowania galeony Andrea Doria, która stała na kotwicy tuż przy murach i zabudowaniach mola i na której pokładzie kapitan Antonio Valani, młody człowiek lat około trzydziestu, zawinięty w swój płaszcz, kroczył tam i z powrotem, podczas gdy fale przyniosły, cicho szeleszcząc, omywały boki jego statku a z mola i z miasta dobiegały jeszcze odgłosy głuchej wrzawy podnieconej ludności.

Właśnie zatrzymał się kapitan w swej wędrówce, przypatrując się światłom miejskim, błyskającym w dół z ponad murów, gdy z boku,

kładac mu rękę na ramieniu, ukazał się porucznik Leone della Rota, przyjaciel jego z młodych lat ze Strada Giulia.

„Tak bardzo zamyślony, Antonio?”

Zapytany obejrzał się prawie przerażony.

„Ach, to ty jesteś Leone? Cóż, przynosisz jakąś wieść nową?”

Tak, lecz niestety bardzo złą. Nadeszła ona z fortu Liefkenhoek do admirała; historia poprzedniej nocy jest prawdziwa. Diabeł uprowadził Zwiastowanie, okręt, załogę, ludzi i myszy. Tylko chłopiec okrętowy zdołał wylądować koło fortu Bat sunąc po morzu na pustej beczce. To wszystko wywołało wielką radość wśród heretyków a wyspiarskie kobiety — potwornie brzydkie kreatury, Antonio — dokładnie i pięknie osuszwszy chłopca, przysłały go z przeklecie gorzkim komplementem do nas, do Jego Eksceleńcji Gubernatora. Teraz znajduje się on właśnie w cytadeli; tak czy owak otrzymamy niedługo wieść od admirała.

„Bogdajby ją Bóg zesłał,” krzyknął kapitan Andrea Doria, mimowoli tupiąc nogą o pokład. „Leone, ja nie wytrzymałem już dłużej tego stania bezczynnego na kotwicy!”

„Bezczynnego?!” zaśmiał się porucznik. „O, na piękne kształty boskiej Venus, tego bym jednak nie przypuszczał. Wolałbym mniemać że czas który my spędzamy stojąc tu na kotwicy, nie schodzi nam tak bezpożytecznie. Corpo di Bacco, choć bo za dumną zdobycz posiadam w tłustej postaci signory, w tej tawernie pod Herbem Alcantary. Więc proszę cię, Antonio.”

„Ty jeszcze tak lekko bierzesz życie, Leone!” odpowiedział kapitan wdychając.

„Och”, śmiał się porucznik, „uderz się przecież we własną pierś przyjacielu i nie wyśpiewuj mi podobnych frazesów. Ach, nie odwracaj, wdychając przy tym boleśnie, swego spojrzenia ode mnie. Proszę, spójrz na to co wskazuje mój palec — tam, patrz, to światło tam ponad wałami miasta — w tym oknie narożnym! Idź tylko za moim palcem wskazującym, widzisz je? Och, Antonio, Antonello, kapitanie, kapitanie, któż mieszka tam? Powiedz mi, któż zapalił to światelko? Czyż nie jest to najśłodsze dziecko, które ten hiperborejski kraj, chciałem powiedzieć to hiperborejskie błoto (jest ono niem tak długo jak tu pada, a to jest bardzo długo jak mi się zdaje), zdołało wydać ze siebie? He, czyż nie jest Antonio Valani, kapitan tej dobrej galeony Andrea Doria, z duszą i ciałem oddany dwojgu niebieskim oczom i blond warkoczom tej bella Fiamminga? . . . Znowuż westchnienie? O, Antonio, Antonio, na naszą piękną panią z Cytherei, ty jesteś całkiem smutny towarzyszu!”

Kapitan zachnął się mimowoli.

„Ach, zostaw mnie Leone; — proszę, idź do swojej tłustej signory. Daję ci urlop na całą noc aż do pierwszego piania kogutów, abys wraz z swoimi roztrzępаныmi słowami zdaleka był od okrętu. Idź, proszę cię, i nie dręcz mnie dłużej swą wesołą twarzą. Prawdziwie, życzę ci byś miał zawsze to lekkomyślne usposobienie i wesołą radość życia; lecz pozostaw także mnie mej godzinie samotności, jeżeli jesteś moim przyjacielem. Czuję się bardzo źle.”

„Antonio”, odpowiedział tenente poważniej. „Antonio, na mą uczciwość, ja nie chciałem cię dręczyć. Gruba gospodyni pod Herbem Alcantary może czekać lub z poza drzwi wyglądać tak długo jak się jej tylko podoba; — ja tam nie pójdę. U diabła, powiedz carissimo, co się z tobą dzieje? Zwierz mi się z tym co cię dręczy! Wszak nie zła wieść z zachodniej-Szeldy; — zaufaj mi, czyżby istotnie było to prawdą co ja

brałem za żart i żartobliwie traktowałem? Czyżbyś rzeczywiście popadł w wiary czarodziejki o blond włosach?”

Tu kapitan Antonio westchnął głęboko bez dania odpowiedzi i Leone ciągnął dalej:

„I ona gra okrutną dla ciebie? Dla ciebie, ulubieńca wszystkich dam na Strada Balbi i na wszystkich pozostałych ulicach, uliczkach i zaułkach naszego kochanego ojcystego miasta Genova superba? Na władczynię z Paphos, to zasługuje na karę, na najśroźszą karę. O, to pełne powabów a tak barbarzyńskie stworzenie! Antonio Valani, zwierzniku i przyjacielu, oto staję obok ciebie z mieczem, sercem i głową ku twej pomocy. Co musimy zrobić, aby słodkie dziecko pozyskać dla ciebie?”

To co było omawiane między kapitanem i jego porucznikiem, zostało przerwane i zatruciło się w zawałaniu trzymającego straż na schodni żołnierza; bicie bębnow rozległo się wzdłuż mola, pochodnie świeciły, broń błyskała. Admirał Fryderyk Spinola nadchodził aby zrobić przegląd na Andrea Doria i na innych statkach swej floty, stojącej pod wałami Antwerpii. Znajdował się on w możliwie najgorszym nastroju, jak to w pełni mogli Antonio i Leone zauważyć, gdy pospieszili go powitać. Ogromnie zawzięcie tupał nogami signor Federigo w kole swych kapitanów, zgromadzonych wokół niego na pokładzie Andrea Doria. Nieszczęśliwa walka ostatniej nocy leżała mu ciężarem na sercu. Gdyby dalej szło w ten sposób, to w żadnym wypadku interes nie wypadłby tak opłaczalnie, jak to wyglądało na pergaminie umowy, na której Don Filip III Hiszpański swój Jo el Rey położył nad podpisem genueńskiego nobile.

„Precz mi stąd wszyscy!” krzyczał wściekle Don Federigo w kole swych kapitanów, „precz mi stąd wszyscy na morze, schwytać tę nikczemną czarną galere. Na jej własnych rejach powieścić mi całą załogę a piekło niech pochłonie dusze. Cospetto, jutro równo ze świtem pnieć kotwice czterech galer, które tu jeszcze stoją zakotwiczone. Słyszą signori? Andrea Dorfa pozostaje sama i czeka na dalsze rozkazy. Czy słyszą panowie dowódcy galer? — Jutro wczas. Zlecenie jest już do Sluis do tamtejszego dowódcy wysłane ażeby również wyszedł ze wszystkimi wolnymi statkami na morze. Czarną galere — dajcie mi czarną galere, albo diabeł —.”

Połykając resztę swej przemowy zatusował ciężko nogami admirał odchodząc z pokładu; krzywiąc się dosadnie, kapitanowie popatrzyli wprzód jeden na drugiego, potem zaś za odchodzącym admirałem.

„Diavolo — to był pieprz hiszpański! — Także robota, o której łatwiej mówić niżli ją wykonać! — Więc, moi panowie? — Czarna galera! — Czyż nie wczoraj powiesiliście waszego kucharza, Francisko? — Tak, szkoda go! — Sluis — Spinola! — Czarna Galera!” tak szło wkrąg na pokładzie Andrea Doria, aż wreszcie jeden po drugim dowódcy oddalili się, aby uczynić przygotowania przed podróżą w dniu następnym.

Antonio Valani i Leone della Rota znaleźli się wreszcie znowu sami na pokładzie statku.

„Więc drudzy odpływają, my tylko pozostajemy? Może i tak być!” mówił Leone. „Wypadniemy więc na swe osobiste polowanie, Antonio, przede wszystkim idziemy jednak teraz do tawerny, musisz mi tam wszystko obszernie opowiedzieć, co tyczy się twego stosunku do nadobnej Flamandki.”

„O nie Leone, raczej nie! zostaw mnie!”

„Nie, nie; ty powinienes i ty musisz. Ja cię uzdrowię, carino; jestem

dobrym lekarzem w tych cierpieniach. Niektórzy to już stwierdzili i ty musisz także tego doświadczyć, Tonino."

Wbrew swej woli pozwolił się kapitan uprowadzić ze swego statku. Niechętnie szedł za luogotenente przez ulice Antwerpii do tawerny pod Herbem Alcantary, której gruba gospodyni zakochana w Leone della Rota, skarbowi swemu zezwalała jeść i pić bez kosztów, dając mu jeszcze wolną kwaterę ile razy jej zapragnął. Zdarzało mu się to jednak bardzo często.

III

Jan i Myga

Następnego wieczoru, w jednym ze szczytowych domów poza murami miasta koło mola, antwerpskiego, siedziała przy małej lampce ubrana w grubą żalobę Myga van Bergen — córka dawniej tak bogatego i cenionego powszechnie kupca Michaëla van Bergen, o którym teraz można było powiedzieć: *Supremum, diem obiit, senex et pauper*.

Jak brzęk wysypywanych z worka nowo wybitych monet złotych dźwięczała każdemu w uszach przed piętnastu lub dwudziestu laty nazwa firmy van Bergen i Norris. Reprezentowała ona jeden z najbogatszych domów bogatej Antwerpii. Po wszystkich morzach krążyły jej okręty, jej składy pełne były najkosztowniejszych skarbów Indyj, i Ameryki; kantor jej pełen był skrzętnych pisarzy. Tak, przed dwudziestu laty, moglibyście na giełdzie lub w domu Oosterlinga, wielkim składzie hanzeatyckim, dopytać się o firmę van Bergen i Norris; prawdziwie, byłyby wam dane natychmiast dokładne wiadomości.

Niestety jednak zmarł Johann Geerdes Norris już dawno w Amsterdamie, a przed czternastu dniami w Antwerpii pospieszył za nim do grobu dawny jego towarzysz, pozostający ostatnio w zupełnej nędzy.

Gdybyście teraz na giełdzie lub w domu hanzeatyckim zapytywali o firmę van Bergen i Norris, powtórzonoby wam przypuszczalnie po wielokroć wasze pytanie, potrząsając przy tym głową. Któż znał obecnie firmę van Bergen i Norris. Tylko najstarsi kupcy i maklerzy mogli ją sobie jeszcze przypomnieć.

Jakże do tego przyszło?

Odpowiedź na to łatwo jest znaleźć. W czasie gdy dom van Bergen i Norris trwał w swym największym blasku, żyło i pracowało dwieście tysięcy ludzi w murach Antwerpii; teraz stopniała ich ilość do osiemdziesięciu tysięcy. Wystarczy to wam?

Rzucmy jednak krótkie spojrzenie wstecz na miniony czas!

Było to dwudziestego sierpnia w strasznym roku 1585. Tego dnia odbywali ewangelicy swą ostatnią mszę w katedrze. Po kapitulacji, którą miasto podpisało na rzecz jego gwałtownego prześladowcy księcia Aleksandra Parmeńskiego, obejmował znowuż następnego dnia katolicyzm w posiadanie świątynię Najświętszej Marii Panny, tę, którą heretykom na tak długi czas w ręce oddać musiał.

Był to wspaniały rzadki moment, gdy właśnie owego dwudziestego sierpnia po ostatniej protestanckiej modlitwie przebrzmiały burzliwe tony protestanckich organów. Zapanowała głęboka cisza, lud siedział z opuszczonymi głowami i modlił się cicho i gorąco. Potem jednak wybuchło — brzmieniem, napoty westchnieniem, napoty przytłumionym krzykiem wściekłości — długo dźwięczącym — boleścią i gniewem! Powstał szmer, zebrani podnieśli się ze zwych miejsc i runęli dziko

i obłąkanie ku drzwiom kościelnym, ku wysokiemu portalowi, który otaczała już katolicka część ludności.

Triumf i upadek!

Mniejsi wszystkich zakonów zagradzali, szydersko uśmiechnięci lub też grożąc spokorniałym cicho płaczącym lub palającym gniewem heretykom, ich droge, podnosząc do góry radośnie swe różańce.

Jakże to dawno było, gdy to oni pod krzykiem: „Papen uyt! Papen uyt! Papieżników precz, precz z papieżnikami!“ tymże samym heretykom ustępować musieli?

Tak zmienia się los ludzki, tak zmienia się triumf i upadek w walce ducha.

Dwudziestego sierpnia, trwał jeszcze w pełni sił i wielkiej swej wziętości dom handlowy van Bergen i Norris; — dwudziestego siódmego już nie istniał. Aleksander Farnése wkrczał z ogromnym przepychem do zdobytego miasta; Jan Geerdes Norris opuszczał je ze swym dziesięcioletnim synkiem oraz wielu innymi którzy nie chcieli znosić hiszpańskiego przymusu nad sobą. W mieście pozostał Michael van Bergen ze swą sześćioletnią córeczką. Każdy z obydwu współników działał według swego charakteru; odważny i zacięty Norris i bojaźliwy, miękki van Bergen. Pierwszy stawiał czoło losowi tak długo jak to było możliwe i usuwał się, gdy walka była rozstrzygnięta, na inne miejsce, aby ją w jakikolwiek sposób znowu podnieść. Drugi zginał się pod naciskiem losu i cierpiał milcząc, gdy nie mógł już go zmienić.

Wszystko to stało się już dawno i nasi bohaterowie to nie są Geerdes Norris i Michael van Bergen, tylko Jan Norris i Myga van Bergen, dzieci swego czasu sławnych właścicieli firmy.

Na jakiz jednak pełen okropności, pustynny świat przyszło tych dwoje biednych. Jakże często były kołysanki matek przerywane przez huk armat z daleka lub z bliska. Jakże często musieli ojcowie dzieci swe zdejmować z kolan, gdy nieszczęście głoszący jęk dzwonu wzywał ich na wały lub do ratusza.

Biedne małe stworzenia! Nigdy nie miały one, jak tyle innych w szczęśliwszych czasach urodzonych dzieci, możności bez niebezpieczeństwa bawić się w cienistych lasach lub zielonych pastwiskach.

Nigdy też nie wiły wieńców z niebieskich bławatków lub czerwonych maków rosnących na brzegach pól!

Lasy przepępniały ciągnące oddziały katolickiego króla, dzikie rotę „leśnych włóczędów“, gwałcący prawa, nikczemny i rozproszony motłoch wszystkich ludów Europy.

Na zielonych polach rozbijały swoje budy i namioty armie hiszpańskie, gromady zaciężnych z Niemiec, Anglii, Francji, Włoch. wreszcie wojownicy Prowincyj Księcia Oranii.

Lany zbóż, zanim złoty ich owoc dojrzał, nim czerwone i niebieskie kwiaty zdążyły zakwitnąć, padały ofiarą rumaków i przemarszów ciągnących wojsk.

Gdzie można było znaleźć zaciszny kątek na tym zdeptanym kawale ziemi, który nazywał się własnością króla Hiszpanii?

W wąskich, ciemnych uliczkach miasta Antwerpii poza wysokimi murami, wałami i wieżami Paciotti, posiadały biedne dzieci swe miejsca zabaw, choć i te często były niepewne i niebezpieczne. Dość często przemieniały się domy mieszczkańskie na więzienia, w których mieszkańcy sami siebie zamykali, stając się w ten sposób własnymi strażnikami, byleby tylko ustrzec się przed krążącym nazewnątrz nieszczęściem.

Całkiem inaczej musiał wyglądać świat w oczach tych dwojga biednych, niżeli w oczach innych szczęśliwszych od nich dzieci; i wiele pięknych popędów zostało przez posepny, zimny cień chmur wiszących ponad tym czasem, już w pączkach przyduszonych i zniszczonych.

Ojcowie i matki zdecydowali między sobą, gdy jeszcze wielka firma van Bergen istniała, że Jan i Myga stanowić mają parę. Lecz gdy podpisano kapitulację między Księciem Aleksandrem a miastem, zerwał, zmieniawszy swe zamiary Jan Geerdes Norris umowę o związku małżeńskim swego synka z córeczką swego współnika Michaela van Bergen. Żony obydwu współników nie żyły już w tym czasie.

Dwudziestego siódmego sierpnia 1585 roku rozłączono oboje dzieci i dziesięcioletni chłopiec i sześcioletnia dziewczynka szlochali gorzko nad rozłąką; była to jednak wojna a wojna rozdziela przecież nieraz jeszcze okropniej serce od serca. Przypuszczano więc, że dzieci zapomną szybko o pierwszych wspólnych wspomnieniach dziecięcych.

Będziemy widzieli czy stało się tak.

Lata minęły. Umarł Johann Geerdes Norris, umarł również Michael van Bergen, w czasie gdy jego bogactwo stopniało jak śnieg topnieje na słońcu.

W izdebce swej za wałami nabrzeża antwerpskiego siedział Myga w czarnym śwym żałobnym stroju — cudnie hoża panienka, pobladała jeszcze od długich ponocnych czuwań przy łożu swego umierającego ojca. Przędła — a jej oczy pełne były łez, a jej serce pełne niewysłowionego bólu i troski. Od czasu śmierci swego ojca biedne dziecko było zupełnie samo w wielkim mieście, zmuszone żyć w zdziczałym czasie, w którym słabsi nie mieli dosłownie żadnych praw w stosunku do ciemiężących, zmuszeni będąc zdawać się na łaskę przemocy każdej samowoli.

Czy całkiem opuszczona była Myga van Bergen?

Biedne dziecko! — to, że nie była całkiem opuszczona przydawało jeszcze troski Mydze.

W pełni troszczy się jeszcze ktoś o dziecko Michaela van Bergen, w pełni czuła sierota, że jedno wierne serce pozostało przy niej, że — Jan Norris z Amsterdamu ostatnią kroplę krwi by za nią oddał; lecz Jan Norris był skazańcem, któremu groziła szubienica, jeśliby tylko jaka hiszpańska ręka zdołała przychwycić go w uliczkach Antwerpii. A Jan Norris, „morski włóczęga“ pokazywał się często w różnych przebraniach na uliczkach Antwerpii.

Nie zapomniał swych wspomnień dzieciennych tak szybko Jan Norris, jak to mniemał Jan Geerdes Norris, jego ojciec.

Nie przestali Jan i Myga być narzeczonymi. Żadna siła na ziemi nie mogła ich rozdzielić, przysięgli to sobie wzajem; co z tego jednak urzeczywistnić mogło się w przyszłości żadne z nich powiedzieć nie zdołało dopóki żył stary Michael.

Lecz Michael van Bergen zmarł i pogrzebany był od dni czterestu; Jan jednak nie dawał znaku życia od czterech tygodni. Czy żył on jeszcze? Czy może pochłonęły go fale? A może Hiszpanie w walce przy abordażu schwycili go i powiesili?

Któż mógł to powiedzieć?

Cóż mogłaby biedna opuszczona Myga począć w pustynnym świecie, gdyby nie żył jej Jan?

Mijała zwolna noc; lecz Myga bała się położyć. Spać i tak nie mogła z powodu zgrzyoty i bólu, cóż więc dla niej znaczyło łóżko. Po-

woli stawało się prawdziwie zimno w małej izdebce, lecz sierota nie zdawała się odczuwać chłodu i nie dokładała węgla do niewielkiego kominka. Odstawiła kołowrotek i ukryła twarz w rękach, głowę pochylając na piersi. Tak siedziała przez dłuższy czas, aby wreszcie drząc z zimna podnieść się i udać się ku swemu posłaniu.

Jeszcze raz pochyliła się ku zasuwom drzwi, aby zobaczyć czy są one dobrze zasunięte i nagle zaczęła podsłuchiwać — podsłuchiwać wstrzymując oddech.

„Myga?!“ zaszemrało z zewnątrz.

Sierota zadrżała na całym ciele.

„O mój Boże!“

„Myga?!“ zaszemrało powtórnie poprzez otwór do klucza.

Z okrzykiem odsunęła młoda dziewczyna zasuwę i obróciła klucz w zamku. Otworzyły się drzwi i w chwilę później młodzieniec w oficerskim mundurze jednego z zaciężnych regimentów z hiszpańskim pasem przez ramię trzymał piękne dziecko w ramionach.

„Myga, o Myga!“

„O Jan, Jan, kochany, kochany Jan!“

Gorące pocałunki musiały tym dwojgu zastąpić słowa w następnych minutach. Potem jednak opadł Jan Norris, jak się zdawało całkiem wyczerpany, na najbliższe krzesło i wtedy Myga zauważyła nieporządek ubrania swego ukochanego, spostrzegła że nie posiadał kapelusza i że na policzku miał lekką szramę, która krwawiła.

„Na miłość Boską, co działo się z tobą Janie? Ja drzę — o, ty napewno znowuż zuchwale wdałeś się w niebezpieczne przedsięwzięcie — o Janie, Janie, niedobry Janie?!”

„Rzeczywiście, o jeden włos, a byłiby mnie tym razem przychwycili, Myga! Lecz nie trwóż się, słodka moja, nie zdołali mnie jednak zatrzymać — do diabła, byłbym już jak pies dyndał na powrozie, gdyby wszystko nie obróciło się na dobre.“

„O Janie, i ty chcesz mnie kochać? Ty chcesz mi pomóc wyjść z tego miasta? O miłosierny Boże! zatracisz siebie i mnie; mój ojciec umarł, o Święty Miłosierny Boże, i co ja teraz ze sobą pocznę? Kto zechce strzec mnie, któż zechce mi pomóc?“

„Masz rację, na Boga ty masz rację słodka moja! Ach twój ojciec zmarł właśnie i mnie nie było przy tobie, by cię pocieszyć w twym smutku. Musiałem od Dünkirchen lawirować i korsarzy do dna przygwałdzić — o, wszystko to jest tak trudne, Myga, i poza tym — ja nie miałem możliwości inaczej, i dzisiaj wieczór również jeszcze nie mogę. Aby ojczyźnie naszej los polepszyć, musi każdy z nas życie swe narażać; — ach Myga, Myga, kochaj ty mnie jeszcze trochę pomimo tego, że złą ci jestem strażą i opieką. Biedny ojciec Michael —“

„Ach, nie mów o mym ojcu, Janie! Jemu jest już dobrze, on ma już spokój i nie potrzebuje nikogo się obawiać — ach, dziś niemal trzeba zmarłym zazdrościć w tym krwawym okropnym czasie!“

„O Myga, nie mów tak. Dosyć jest już nieszczęścia, że ojciec umarł; lecz — teraz jesteś już całkiem moja! Teraz możesz przecież udać się ze mną do Amsterdamu, nikt nie kępuje cię więcej w tej biednej Antwerpii. Myga, uciesz swe serce, my przecież widzimy przed sobą szczęśliwe dni, moja słodka, słodka naręczono. Jeszcze chwila a będę mógł cię zabrać. — Uwważaj, może nawet w takim okazałym orszaku weselnym, którego żadna królowa by się nie powstydziła. Może rozdzwonią się ci dzwony, uderzą bębny, może święcić będziesz przy dźwięku

moździerz błogosławioną godzinę w której uwożić cię będę z Antwerpii. Uważaj, może to wszystko stanie się co teraz ci w pełnej tajemnicy powierzam!”

Ach, co za marzenia, ty dziki, kochany Janie Norris. Powiedz mi, jak może się to zdarzyć, że ty mnie tak świątecznie będziesz mógł uprowadzić do domu. Nie, nie mów mi nic, bo to jest i tak nie więcej niż niedorzeczność, opowiedz mi raczej, kochany o niebezpieczeństwie któremu zaledwie przed chwilą uszedłeś. Jest już za jedno jeszcze nowy ponocny koszmar przeżyć, już ty się o to- zatroszczyłeś zuchwały Janie!”

„Nie tak zuchwały jak ty mniemasz, kochanie!” uśmiechnął się młody. „Kapitan Czarnej Galery strzeże już tego, aby Jana Norrisa głowy, nóg, serca i rąk użyć tak jak to potrzebne. W jednej wielkiej sprawie przybyłem do miasta — my mamy chęć uczynić tu coś, o czym dzieci Antwerpii jeszcze po stu latach mogłyby śpiewać. Dlatego też wpakowałem się w te łachy, niemieckie pludry zamiast w wyspiarskie spodnie, aby zasięgnąć języka. Lecz teraz słuchaj, Myga. Załatwiłem już swe interesy na molo i zdobyłem wieść że cztery galery Spinoli wychodzą jutro na morze zapolować na Czarną Galere; słyszałem też że niestety ojciec Michaël zmarł; przyglądałem się dokładnie z racji jego budowy ostatniemu genueskiemu statkowi który tu na kotwicy stoi, Andrea Dorii, gdy wieczór zaczął zapadać. Wielekroć w ciągu dnia w myślach przyglądałem się twemu okienku, kochane dziecko, lecz nie znalazłem minuty czasu, aby tu przyjść, zbyt wielu ludzi deptało mi po piętach. Woląłem więc poczekać nadejścia ciemności — mam przecież klucz do domu — i włóczyłem się zwolna uliczkami, aż mi przed jednym z oświetlonych szynków przyszło do głowy by, siedząc, oczekiwać nocy i rozpatrzeć się trochę wśród naszej ludności oraz w sposobie bycia obcych — w związku z moją sprawą, rozumiesz! — Dobrze, wchodzę do tawerny, zamawiam butelkę wina, siadam za stołem wsparłszy się na łokciach w sposób dający do zrozumienia że czuję się jakby świat cały należał do mnie a ja nie jestem w kłopotcie i trosce o moją biedną Mygę, której ojciec umarł w chwili gdy nie mogłem przy niej być, aby ją pocieszyć. Wkrąg mnie przelewa się tłum jak przy budowie wieży Babel. Niemcy, Burgundzcy, Hiszpanie, Włosi, Niderlandczycy rozmawiają, przeklinają, krzyczą, każda kreatura w swym języku, wszyscy popijając na swój sposób. Wszystkie stoły i kąty są zajęte i tylko przy mnie pozostawały dwa puste miejsca. Wtedy nadchodzą dwa bezczelne zuchy, znam ich dość dobrze, jeden z nich to kapitan z Andrea Dorii, drugi — to jego porucznik. Przeleżą przez stół i ławki i siadają koło mnie. Robię im chętnie miejsce, ponieważ znajomość z nimi jest dla mnie wiele warta i każde słowo wypowiedziane przez nich kładę na wagę złota. Dają pozor jednak, jakdybym ich nigdy, na oczy nie widział, kładę senny głowę na obie ręce i nie troszcząc się napozór o świat nadstawiam jednak najmocniej uszy. Oba włochiny wołają o wino i młodszy z nich, porucznik, ujmuje zaraz usługującą dziewczynę za biodro. Drugi jednak spogląda raczej załośnie i melancholijnie, jakdyby mu obficie pietruszki zadano; — mógłbym się z niego naśmiewać; lecz na przysięgę włóczęgi rzecz nie była do śmiechu! Idą słowa o tym i o owym, i z początku, rzecz prosta, tylko o naszym dumnym czynie, o tańcu z poprzedniej nocy, wzięciu Immakulata Assencione. Cieszy się tym moje serce; lecz wtem krzepnie mi krew, gdyż nagle słyszę wymówione imię, które dobrze znam. O Mydze van Bergen mowa jest, o tobie!”

„O mnie?” zawołała młoda dziewczyna; „o niebiosa, włoski kapitan mówił o mnie! O Boże, Janie, Janie, obroń mnie przed tym! O, jak ja się boję tego!”

„Więc jest tak, ten pies zastawia swoje sidła na ciebie?!” krzyknął Jan Norris przytłumionym głosem a Myga ukryła swą twarz na jego piersi i drżąca przytaknęła.

Młody włóczęga morski zgrzytnął zębami i roześmiał się gniewnie.

Niedobrze jest pić napój zbyt gorący. Przekona się o tym ten galgan włochino. Uspokój się Myga; czyż nie jestem przy tobie a wielu dobrych towarzyszy czyż nie jest ze mną? Biedne dziecko, jak ty drżysz!”

„O Jezus, Janie, ja nie mogę sobie dać rady. Czyż nie posiadają mocy ci gwałty czyniący zuchwali obcy? Któż może skryć się aby ująć ich złym chęciem? O Janie, Janie weź mnie z sobą — jeszcze tej nocy, zaraz!”

Jan Norris trzymał bladą drżąca narzęconą w ramionach i usiłował ją we wszelki sposób uspokoić. Gdy mu się to w części udało, począł opowiadać jej dalej o swej przygodzie w szynku Pod Żółtym Lwem.

„Włosy powstały mi na głowie i cała krew uderzyła mi do mózgu. Musiałem się jednak hamować aby się nie zdradzić, a to była ciężka robota; ale Janowi Norris powiedział się to osiągnąć, aby nie okazać iż pojmuje on te diabelskie słowa. Na hrabięgo Lumey, łotrstwo czarniejsze od nocy było tam wymyślone; ale ja wiem już wszystko co mi jest potrzebne. Pojutrze o wczesnej godzinie żeglują Andrea Doria — odpowiedni rozkaz jest już przez admirała przesłany — i ponieważ sposobność bardzo odpowiednia jest, następnej nocy ma być ładny plan wykonany. Następnej nocy ma być dziki gołąbeczek Myga van Bergen w mocy kapitana Antonio Valani, z pomocą diabła i porucznika Leone della Rota. Następnej nocy ma być ten dom napadnięty: — ma się to stać tak cicho, ażeby żaden sąsiad się nie zbudził, ażeby żaden kogut z całej Antwerpii nie piał o tym. Na galeonę ma iść Myga! Wesolo — podnosić kotwicę chłopaki — hoiho, naprzód, zapłować na tych buntujących się heretyków — wesolo naprzód na otwarte morze; — któż słyszeć może na dalekim morzu wołanie o pomoc i płacz małej Mygi? Niebo i piekło, i Jan Norris siedzi obok pod Lwem i nie może nic rzec, trzyma swój nóż w garści i nie może obydwum szepczącym łajdakom zeber porachować!”

„O Janie, Janie, na moją i twoją matkę — na naszą miłość, ratuj mnie! Nie pozwól mi wpaść w ich ręce! Śmierć sama byłaby mniejszym złem od tego!”

„Spokojnie, spokojnie, moje dziecko! Jest jeszcze bardzo wiele czasu do następnej północy. W Amsterdamie przy ognisku będziemy jeszcze nie raz tę historię wspominać. Zdaj to na mnie, serdeczna ma, nic ci się nie zdarzy bolesnego dopóki Jan Norris na śwych nogach stoi. Lecz teraz słuchaj dalej, moja przygoda nie doszła jeszcze do końca. Muszę ci jeszcze wprzód opowiedzieć jak do tego przyszło, że oni zwietrzyli we mnie drugiego sternika Czarnej Galery. To była o wiele weselsza historia od tej którą ci właśnie opowiedziałem.”

„O Janie, Janie, ja czuję jak moje serce bije; — o miłosierny Boże, kto strzec zechce biednej Mygi? O Janie, zgódź się na to byśmy uciekli; teraz, odrazu, na tamto miejsce, ja tu nie mogę nawet oddychać — powietrze tego pokoju zabija mnie.”

„Spokojnie, spokojnie kochana Mygo. Chętnie chciałbym cię odrazu ze sobą zabrać i łódź byłaby także gotowa aby nas przyjąć; lecz przy-

słuchaj się tylko temu co dzieje się w ulicach — całe miasto wie już w tej chwili, że ludzie z Czarnej Galery przebrani przebywają w jego murach. Posłuchaj tylko tego szumu — w tej wrzawie i bieganinie nie uda się nam szczęśliwie przedostać do celu. Siadaj i nie drzyj tak — tu jesteście bezpieczni, a czas przyniesie nam radę — pomyśl raczej o tej chwili kiedy będziemy już w Amsterdamie przy ognisku siedzieli! Hahaha, pozwól im tak zzewnątrz szukać, zbyt chyży i sprytny jest dla nich Jan Norris — byłaby również szkoda chłopca gdyby udało im się go powiesić, nieprawdaż Myga?”

„O Janie! Janie!”

„Ach, ba, daj mi buziaka i — jeszcze jednego, a teraz do mojej przygody. Siedzę ja więc dalej i kasam wargi do krwi, ale nie tracę ani słowa z rozmowy toczzonej koło mnie, a łajdaki bzdurzą dalej, radując się ze swego przymierza z diabłem. Potem piją swoje wino, podnoszą się ze swych miejsc i chcą odejść, są jednak przed drzwiami przez wielkie zbiegowisko zatrzymani. Mianowicie łotrzyk jakiś jest wprowadzony na ramionach dwu dragali, wielkie hurra powstaje, gdy ludzie w izbie go ujrzeli. Ten łotrzyk to był chłopiec okrętowy z Immakulata, jedyny który z całej załogi uszedł z życiem i zdołał dotrzeć do ładu po wściekłej podróży poprzez powietrze i wodę. Każdy chciał mu się przypatrzeć, każdy chciał z nim mówić, wszyscy się wokół niego skupili częstuując swoimi kubkami i dzbankami. Ja zaś uważałem za najlepsze skorzystać z zamieszania aby ulotnić się nieopstrzeżenie. Posuwam się więc możliwie najbliżej ścian i osiagam już prawie drzwi, gdy nieszczęście chciało że oczy chłopca okrętowego, ciągle jeszcze znajdującego się na ramionach towarzyszy, skierowały się na mnie. Łotrzyk wpatrzył się we mnie jakgdyby ujrzał ducha, pobladł jak płótno i począł krzyczeć ile sił w płucach: „Na pomoc! ecco! ecco! tu jest jeden! Na pomoc — trzymać, trzymać go!” — „Kto jest? jak? co?” warknął tłum i każdy jął patrzeć na chłopca i na swych towarzyszy. — „Tam, tam, ten przy stole — trzymać go, to jest ten diabeł, jeden z morskich włóczęgów, który kapitana Perazzo przebił — jeden z Czarnej Galery!” — Wybuchła wrzawa nieopisana, jakgdyby piekło pękło — wszystkie oczy skierowały się na mnie, wszystkie miecze wyleciały z pochew, ja również wyrwałem mój nóż, aby moje życie w tym nieszczęściu sprzedać możliwie drogo. Rzucili się wszyscy na mnie; ale ja jestem szybszy od nich, chwytam sąsiednią ławkę i ciskam ją najbliższym pod nogi, tak że cała ich kupa przewróciła się i potoczyła po ziemi. Wykorzystuję ten moment — jednym skokiem jestem w środku tłumu i bijąc swym nożem na prawo i lewo po pyskach — osiagam drzwi — jestem już na ulicy — za mną słyszę wycie następujących. Bogu niech będą dzięki że Antwerpię znam jak swoją kieszeń. Raż tu, raz tam idzie polowanie, ale ja łudzę ich przez różne podstępny; prowadzę ich na błędne ścieżki i krzyżuję potem napoprzek. Na molo jest jeszcze całkiem cicho — mój zaufany kluczyk otworzył mi dobrze znane drzwi domu — i — tu jestem już uratowany aby ciebie ratować, droga Mygo, słodka dziewczyno. Zaczekaj no, oni zdaje się nie tracą jeszcze nadziei powieszenia włóczęgi — do diabła, słuchaj tylko, cały garnizon przypuszczalnie postawili na nogi — haha, cóż za wielki szacunek moi panowie! Najposłuszniesze dzięki, hahaha!”

Śmiejąc się nad słuchiwał Jan Norris, drząc przysłuchiwała się Myga van Bergen dobiegającej wrzawie ulicznej.

„O kochańcy Janie, czy jesteś całkiem pewny że nikt nie widział twego wejścia do tego domu? Słuchaj tylko, cały rozruch posuwa się

tutaj — o Boże, patrz przez okno, — pochodnie i dzidy — Jezus, uderzają we drzwi — szukają cię Janie, miłosierne niebo, schroń nas — straceni, straceni!”

Brama otworzyła się, wydawało się że wkroczą do domu; Jan Norris zacisnął zęby i uchwycił rekojęść swej broni.

„Spokojnie. spokojnie — to jest niemożliwe! Spokojnie Myga!”

„Oni tu idą, oni tu idą!” krzyczała dziewczyna. „Wchodzą na schody, oni cię znajdują; Janie, Janie, pozwól mi umrzeć ze sobą!”

Młody włóczęga był blady jak śmierć.

„Czyżbym cię przez swą nieostrożność na niebezpieczeństwo naraził, Myga? To byłoby straszne. Na przysięgę włóczęgów, wdzierają się na schody. Myga, o Myga!”

„Pozwól mi umrzeć z tobą, Janie!” tchnęła młoda dziewczyna, padając na pierś swego narzeczonego.

IV

Napaść

Nietylko w Herbie Alcantary, o nie, we wszystkich tawernach bogatego w szynkownię miasta Antwerpji był luogotenente Leone della Rota jak u siebie w domu. Tego wieczoru zaciągnął on swego przyjaciela, kapitana Antonio Valani, do szynku pod Złotym Lwem, a ten, wbrew swej woli, jak zwykle dał się namówić.

Któż mógł się jednak przeciwstawić temu, co Leone della Rota chciał przeprowadzić.

Bardziej lekkomyślny niż złośliwy, traktował młody porucznik cały świat jako wielką scenę, a wojnę jako wspaniałą możliwość, aby szalone figle swe bez przeszkód przeprowadzać. Za taką szaloną i wesołą przygodę uważał on porwanie biednej, małej, opuszczonej przez wszystkich sieroty; — w jego niezdolnej do czegoś pożytecznego głowie szaleńca powstał ten plan, a przeprowadzić go, po nakłonieniu z trudem przyjaciela swego, było kwestią jego honoru. Cóż obchodziła genueńskiego nicponia sprawa zbuntowanych prowincyj lub jego katolicko-hiszpańska moc? Heretyczki mogły przecież być bardzo piękne a zwolenniczki jedynego i powszechnego kościoła całkiem brzydkie. Leone wolał interesujące heretyczki od brzydkich katoliczek a poza tym czynił wszystko możliwe aby stare przysłowie, które we Włoszech o jego rodzinnym mieście krążyło: Genua ma morze bez ryb, ziemie bez drzew, ludzi bez wierności i wiary — nie straciło na wartości.

W tawernie pod Złotym Lwem miał on, jakeśmy to usłyszeli z opowieści Jana Norrisa, spotkać się z Antonio Valani, aby ostatecznie naradzić się co do planu uprowadzenia. W wypadku gdyby porwanie udało się, a Andrea Doria ze swej ekspedycji szczęśliwie powrócił, zdobywszy lub zniszczywszy Czarną Galerę, któż odważył by się wystąpić jako oskarżyciel przeciwko zwycięzcy? W wypadku jednak gdyby galeona nie powróciła — wtedy ostatnie zdarzenie byłoby i tak rozstrzygające. Myśleć o możliwości trzeciego rozwiązania, mianowicie że Andrea Doria powróci do portu bez ujrzenia nieprzyjacielskiego statku, uważał Leone della Rotta poniżej swej godności. Kapitan jednak pozwolił się powodować jak i dokąd porucznik zechciał.

Tego ażeby morscy włóczędzy mogli ich prześladować, nie brali obydwa Genueńczycy w najmniejszym stopniu pod uwagę. W ściganiu śmiałego morskigo włóczęgi obydwa Genueńczycy nie wzięli najmniejszego udziału. Ramię w ramię wlekli się ku mołu poprzez uliczki, którymi przebiegały poruszone tłumy.

„Bylibyśmy przecież głupcami goniąc za hultajem!“ śmiał się Leone. „Pozwolimy innym ścigać zuchwałego żebraka. Na gołębie Afrodyty, od czasu kiedy zazwyczaj tak chłodnemu Antonio służę jako przewodnik do zaczarowanego państwa miłości, dusza moja unosi się wysoko ponad tym krajem mgieł. O amorze, wiązaczu serc, za twoją nawołującą do ataku choragwią pójdę zawsze; o bóstwo z Cytherei, weź nas pod swą niebieską straż!“

„Proszę cię Leone, bądź rozsądny, nie bądź błaznem. Ja dziwnie nie mogę nabrać odwagi. W całym moim życiu nie miałem podobnego uczucia w sercu. Leone, ja czuję — Leone, przez cały dzień, przez cały wieczór trawia mnie dziwne myśli — Leone, trzymaj się dobrze a być może wkrótce będziesz na moim miejscu kapitanem Andrea Doria...“

„A ty vice-admirałem jego ekscelencji don Federigo Spinoli —“

„Albo trupem na dnie morskim!“ zamruczał kapitan.

„Co? Myśli o śmierci? Myśli o śmierci pod oknami przedmiotu swej miłości?“ śmiał się porucznik. „Ależ, na wszystko co może się w świecie zdarzyć, to jest wspaniałe. O bogdajbym został Francesko Petrarca, aby zaraz sonet na temat tego wspaniałego nastroju duszy napisać! Toż patrz przecież marzycielu, jesteśmy właśnie dokładnie pod oknami twojej Inamorata; — jeszcze światełko płonie w nim; — ach, cóż za pomysł! — Antonio Valani, przyjacielu mojej młodości, aby twoje przecucia śmierci przeproszyć, będziemy — będziemy musieli zaraz w tym momencie odwieźć słodkie dziecko —“

„Leone?!“

„Dokonać u niej przeszukania mieszkania. Wszystkie wściekle koncepcje są godne pochwały. Naprzód w imieniu króla, naprzód w imieniu miłości!“

„Leone, Leone!“

„Pozwól“, śmiał się porucznik. „Proszę cię, przecież mógł włóczęga, którego te bałwany szukają, równie dobrze zakraść się do mieszkania tej małej jak do jakiegokolwiek innego domu w tym mieście! Naprzód, mój szpikowany przecuciami Antonio, naprzód, my dokonamy poszukiwań w domu twojej hożej kochaneczki i w ten sposób jeszcze lepiej zapoznamy się dla celów przyszłej nocy z rozkładem mieszkania.“

Nim kapitan mógł powstrzymać swego dzikiego przyjaciela, ten podskoczył pod drzwi domu Mygi i bijąc w nie pięścią, wołał donośnym głosem:

„Oworzyć! otworzyć w imieniu Jego Katolickiej Mości Króla Hiszpanii! Otworzyć! Zdrajcy i nieprzyjaciele znaleźli schron w tym domu!“

Ze wszystkich stron naraz spłynęli żołnierze, marynarze i mieszczenie antwerpscy przed drzwi, prowadzące do mieszkania Mygi. Tłum rósł z minuty na minutę. Pełen wątpliwości usiłował kapitan Valani hamować krzyki swego szalonego przyjaciela; lecz było już zapóźno. Brama otworzyła się i mieszkańcy budynku w którym przebywała Myga, cieśla, szewc, pisarz miejski, wszyscy ze swymi rodzinami i pracownikami, wreszcie wdowa z kilkorgiem dzieci, wysunęli się trwożnie ze swych kątów, przerażeni myślą, że jeden z niderlandzkich rebeliantów szukać mógłby ucieczki pod ich dachem. Tylko jakaś zgarbiona, ogromnie stara kobiecina wystąpiła odważnie ze swą lampą w drżącej dłoni ku tłoczącym się i stwierdziła skrzeczącym głosem, że nikt nie mógł przemknąć się do domu a już najmniej wyspiarski morski włóczęga. Niechaj ją Bóg zachowa przed daniem schronienia włóczędze morskemu; czyż nie był jej mąż, jej biedny, świętej pamięci mąż przez wściekłych okrutników wyrzucony ze swej łodzi rybackiej i utopiony

niebezpiecznie w morzu? — Lecz cóż znaczyły dla przybyłych jej zapewnienia? Nikt ich nie słuchał, dom pełny był hiszpańskich żołnierzy, włoskich marynarzy i obdartusów z zaułków. Krzyk obawy i wołanie o ratunek dały się słyszeć niedługo z rozmaitych mieszkań; trochę bito i dręczono, trochę rabowano przy okazji. —

„Naprzód, Antonio! Nie zatrzymuj się!” krzyczał Leone. „Naprzód, na schody do królestwa niebieskiego!”

Trzymając staruszkę za kołnierz, zmuszał ją do przyświecania lampą, drocząc się żartobliwie.

„Wesoło, wesoło mateczko! Inni szukają w dole, my na górze chcemy — naprzód i nie rób tego tak opieszale, ja nie przyglądałam się twym łydkom. Hej, Antonio, nie pozostawaj w tyle —“

„Leone, proszę cię!”

„Ach, cóż znowu, naprzód, naprzód, Madonna! Haha, Antonio, cóż z ciebie jednak za zając, aby być przeciwnym takiej słodkiej awanturze! Cóżby się z tobą stało gdybyś mnie nie miał? Tak — to wygląda już na ostatnie piętro. — Victoria! Victoria. Mille grazie, stara Sybillo. Tu, tu, Antonello — w imieniu króla, otworzyć, otworzyć! Zdrajca i piękna dziewczyna ukryli się tutaj; otworzyć, otworzyć w imieniu króla. Imieniem Jego Katolicko-Hiszpańskiej Mości proszę wyjść ze swego gniazda uroczy ptaszku; otwórz i wydaj swe słodkie buntownicze serduszko!”

Śmiejąc się pochwycił szalenię za ramiona kapitana i pchał go ku drzwiom, które daleko odrzucił — — — zdrtwiali, zwątpiali stali obaj Genuieńczycy! —

Ze wzrastającą troską i trwogą przysłuchiwali się Jan i Myga krzykom ulicznym. Gdy wreszcie dziki hałas rozległ się w domu, narzeczona w zwątpieniu swym zaczęła błagać narzeczonego aby się chronił.

Lecz cóż się mogło zdarzyć takiego coby ich uratowało?

W następnym momencie było już zbyt późno. Nazbyt pospiesznie przebieł Leone della Rota schody do góry.

Lewem ramieniem podtrzymywał Jan Norris omdlałą narzeczoną, kurczowo dzierżąc w prawej dłoni naga broń. Nie wiedział, co właściwie miał począć, opuściła go w tych straszliwych sekundach cała jego przytomność umysłu. Cóżby zresztą pomoc mu mogła! O ile umysł ludzki był w stanie pojąć, zgubieni byli Jan Norris i Myga van Bergen.

„Do wszystkich diabłów, co to znaczy?” krzyknął genueński porucznik. „To wszakże nie jest najgorsze! to jest naprawdę rzadkie spotkanie, — nazwałbym to zabiciem dwu much za jednym uderzeniem. Holla, Antonio Valani, teraz napewno pozyskałeś swego uroczego gołąbka. O istnieniu podobnego współzawodnika pewno i nie śniłeś? Precz z tym włóczęgą! na szubienicę z nim!”

Zabłyśły wyciągnięte z pochew miecze Genuieńczyków.

„Bóg cię strzeż, Myga!” krzyknął Jan Norris, wywijając swą klingą. „Precz, włoskie opryszki!”

Wydawszy dzięki okrzyk włóczęgów: Lepszy Turek niż pop! ubiegł sternik Czarnej Galery klingę Leone della Rota, — uderzenie — z krzykiem okręcił się kapitan Andrea Doria i zachwiał; dzwierząc wypadł miecz z jego ręki — ku ziemi potoczył się Antonio Valani. W bok od ciała Genuieńczyków odskoczył morski włóczęga, drugie uderzenie dotknęło jednak tylko lekko lewego ramienia porucznika. Marynarze galeony Andrea Doria pospieszili na górę z pomocą, wywijając nożami. Dzika i krwawa walka powstała w wąskim przejściu; bez zmysłów

leżała Myga van Bergen na ziemi. Hiszpańscy i genueńscy żołnierze pomnażali ścisk, lampy i pochodnie zagasiły się na podłodze, podniesiono je i zapalono. Nieliczni tylko wiedzieli co stało się, i gdy nagle krzyk: Ogień! Ogień! rozległ się w domu, opuścili splątany kłęb ludzki w panicznym przestraszu mieszkanie, pchając się z powrotem na dół po schodach. Duszący dym napełnił wszystkie izby domu; poprzez niego wlekli genueńscy marynarze swego śmiertelnie zranionego kapitana i związanego włóczęgę morską Jana Norrisa! Poprzez dym dźwigał Leone della Rota pozbawioną świadomości Mygę w dół po schodach na ulicę, gdzie właśnie nowa walka groziła między żeglarzami Andrea Doria a hiszpańskimi żołnierzami, którzy pierwszym chcieli wyrwać ich więźnia. Lecz uderzenia bębnow oznajmiły przybycie wyższego dowódcy, któremu Leone udzielił wiadomości, o ile mu na to pozwoliło oszołomienie w jakim się znajdował. Don udzielił następnie poważnie swej opinii: wydawało mu się najlepszym zranionego kapitana, włóczęgę i dziewczynę odesłać na statek, gdzie mianoby ich wszystkich pięknie razem przy porannym przesłuchaniu; — poza tym przynależał pojmany jako włóczęga morską i tak najwyższej rei, więc przesłanie go na galeone i z tego powodu było najsluszniejsze.

W dół mola potoczył się tłum. Pochodnie oświecały dziki pochód i rzucały swój migotliwy blask na zranionego Antonio, omdlałą Mygę i związanego Jana Norrisa, który pozwalał się jak odrętwiały wlec przez swych zaciekle nieprzyjaciół. Ciągłe jeszcze dźwigał Leone della Rota Mygę w ramionach, nie zdając sobie jednak sprawy w jaki sposób do tego przyszło. Wszystko wirowało w jego mózgu — jak we śnie niósł on swój lekki ciężar aż na pokład galeony.

W kajucie przygotowano zranionemu kapitanowi łożo. Przybył lekarz, aby opatrzyć ranę ciągle jeszcze znajdującemu się bez świadomości Antonio i trząsł przy tym mocno głową. Myga van Bergen przykucnęła w kącie kajuty, przyczem nikt się już o nią nie troszczył. Do wielkiego masztu przywiązano sternika Czarnej Galery — i ze śmiechem szyderczym otoczyli go niemilosierni nieprzyjaciele.

Wreszcie późno uciszyło się wzburzenie w mieście, kiedy już płonący za murami dom wypalił się doszczętnie. Wcześniej trochę nastał spokój na pokładzie galeony Andrea Doria. Bez poruszenia leżał Antonio na swym pośłaniu, bez ruchu siedział Leone przy nim, bez ruchu kurczyła się Myga w najciemniejszym, najbardziej oddalonym kącie. Nie słyszano na całym statku nic oprócz szumu prądu, chrobotu takelunku na wietrze i kroków strażnika, który z naładowanym muszkietem i żarzącym się lontem przechadzał się przed uwięzionym przy maszcie, nie spuszczając go ani na chwilę z oczu.

O drugiej godzinie wiatr uspokoił się całkiem, tak że teraz nie było słyhać chrobotu takelunku. Śmiertelna cisza panowała na pokładzie galeony Andrea Doria. — Śmiertelna cisza, którą nagle tym przeraźliwiej przerwał krzyk i huk wystrzału.

Porucznik della Rota wyskoczył z kajuty na pokład, ze swych koi i hamaków runęła załoga.

Miejsce uwięzionego przy wielkim maszcie było puste. Z wystrzelonym muszkietem stał szyldwach, błędne spojrzenie rzucając wokół siebie, przytłoczony pytaniami i przekleństwami oficerów i załogi.

„Tam, tam! za burtą!” podniósł się wreszcie gorący krzyk z piersi zaskoczonych ludzi.

„Gdzie? gdzie? gdzie?”

Wszystko rzuciło się do burty.
„Łódź na dół! szybko! szybko!“ zabrzmiał rozkazujący głos porucznika.

Ożywiło się na Szeldzie, światła rozbiły się przez noc; lecz noc są ciemne w listopadzie. Do syta złowiono w dół prądu spieszących topielców, lecz żaden z nich nie był Janem Norrisem. Po obu brzegach w dół prądu leciały sygnały alarmowe; lecz próżne były wszystkie usiłowania całej zebranej i leżącej pod Antwerpią floty.

Czy uratował się Jan Norris? czy znalazł śmierć w nurtach prądu? Któż mógł to powiedzieć!

Jakże poruszyła się jednak, nad słuchując, Myga van Bergen w swym kajacie, gdy pojęła, że włóczęga więzy swoje rozerwał i wyskoczył poza burty.

Ranek świtał lecz nie przyniósł ze sobą żadnej wieści o losie poszukiwanego morską włóczęgi.

Po pokładzie Andrea Doria kroczył Leone della Rota z ramionami skrzyżowanymi na piersi, mrużąc do siebie:

„Gdybyż on tego nie był powiedział! On umrze z mojej winy — o Antonio, biedny Antonio! Przepowiedział on to: ja kapitanem Andrea Dorii, on — trupem na dnie morskim.“

Porucznik przystanął milcząc:

„Jednak Leone — czyż nie jest możliwe wkrótce — może już jutro — pojutrze, że takiż los czeka i ciebie? Któż obawia się śmierci? Śmierć jest zniszczeniem; — niech żyje życie! — Tam wstaje słońce, oddycham znowu swobodnie — krwawe mgły opadają mi przed oczyma! Ognistym syrakuzem chcę wznieść toast na cześć poranka, chociażby i ostatni był on z tych które ujrze!“

Chłopiec okrętowy podał pełny kielich kosztownego napoju.

Leone della Rota podniósł go ku żarzącemu się kregowi słońca, opróżnił jednym łykiem i rzucił daleko w przepływający prąd; potem, stawiając mocno stopę swą na deskach:

„Kapitan na pokładzie Andrea Doria!“ — powiedział, i zaledwie dostłyszalnie dodał: „kapitan Andrea Dorii a Myga — korona kobiet flandryjskich — będzie — moja — moja!“ —

V

Majaczenia w gorączce

Od momentu w którym załoga portu Liefkenhoek przysłuchiwała się hukowi młotów Czarnej Galery i Immakulata Concepcione oraz wyleceniu w powietrze tego ostatniego dobrego statku, po raz trzeci kłonił się wieczór bezwietrzny i niezwykle ciepły. Znaczący pogody stwierdzali i mieli napewno słuszność, możliwość dużych opadów śnieżnych w najbliższym czasie. Słońce, które wczesnym rankiem jasne na prawie czystym niebie wstało, wpełzło około południa za ciężkie, szare chmury. Chmury te powiększały się coraz więcej i wraz z wieczorem opadały niżej i niżej nad miasto Antwerpię, na ziemię, rzekę i morze.

Znowu znajdujemy się na genueńskim statku Andrea Doria w kajucie kapitana.

Wiszącą u pułapu lampa rzuca czerwone światło poprzez izbę na broń, mapy na ścianach, na podłogę, którą wszędzie zaległy krwawe prześcieradła, na posłanie, na którym Antonio Valani w gorączce jęczy i majaczy, na kłęczącą w nogach łóżka Mygę van Bergen, na porucznika

Leone della Rota, stojącego obok posłania i kierującego dzikie, obłądne spojrzenia od rannego do uprowadzonej dziewczyny.

W południe przyjął Leone della Rota ze spokojem informację od admirała Spinoli i gubernatora Antwerpii, że ucieżka morskiego włóczęgi jest diabelną historią i że on — Leone — jest temu winien. Z mniejszą trochę równowagą ducha przyjął, że jemu — w braku kogoś lepszego — powierzone zostało dowództwo nad galeoną Andrea Doria, celem dokonania wyprawy w dniu następnym.

O znajdującą się na pokładzie dziewczynę nie dowiadywał się ani gubernator ani admirał.

Dzień który przeszedł porucznikowi pod znakiem wielkiej pracy na pokładzie i na lądzie, pozwolił mu tylko krótkie chwile poświęcić umierającemu przyjacielowi. Lecz i na pokładzie, jak i na lądzie, prześladował młodego Genuńczyka obraz pięknej, flamandzkiej dziewczyny, którą uwięzioną trzymał na swym statku i która pozbawiona opieki i obrony wydana byłaby jego samowoli, gdyby — tylko przyjaciel jego zmarł. Z początku próbował on wprawdzie odgonić od siebie wszystkie podobne myśli, lecz ciągle od nowa cisnęły mu się one do głowy i w żaden sposób nie mógł im ująć, tak że wkrótce stało się zrozumiałe iż nie ma co z nimi walczyć. W jego zwątpieniu ukazywało się mu hoże dziecko jeszcze bardziej i bardziej urocze; między swymi żołnierzami i marynarzami w arsenale, w poczekalni u admirała, na uliczkach miasta, kągle widział ją w swej duszy klęczącą ze skrepowanymi rękami w kajucie na pokładzie Andrea Doria. Najdziwniejsza namiętność opanowała go jasnym swym płomieniem i oszalałymi sofizmatami próbował przytłumić swą przeciwstawiającą się mu świadomość.

Cóżby to zresztą Antonio pomogło, gdyby on, Leone, dziewczynę wysłał z powrotem na ląd?

Leone della Rota ciągle przywoływał na pamięć chwile w czasie których trzymał delikatne ciało dziewczyny w swych ramionach, gdy dźwigał poprzez dym uliczny omdlałe dziecko. Wiatr wtedy poruszał jasne włosy dziewczyny i muskał go nimi mile po twarzy.

Nie, nie, nie, Antonio Valani, twe prawo do pięknej zdobyczy kończy się razem z twą śmiercią! Prawo wojny, Antonio Valani. Opuść banderę i zatoń — moim jest szczęście, które twoim bezsprzecznie było, a jutro, — jutro ja przegram, oddając zwycięstwo w inne ręce! Prawo wojny, prawo wojny — mój biedny Antonio!"

Z tymi i podobnymi myślami wszedł nad wieczorem porucznik do kajuty i stał w niej teraz, jakeśmy to opisali, pomiędzy umierającym a drżącą Mygą w rozblaskach mętnych okrętowej lampy.

Chciano zranionego kapitana przenieść na ląd; lecz z całą gwałtownością dopalającego się życia obronił się przed tym Antonio Valani; na swym okręcie chciał umrzeć, nie w szpitalu. Nawet w szaleństwie gorączki nie zapomniał, że dziewczynę flamandzką którą on kochał, przywiódł Leone na pokład Andrea Doria. Im bliżej śmierci podchodziła, tym mocniej chwytał się tej miłości, tym silniej występowała ona u niego. Przedtem zamknąłby ją mocniej w sobie gdyby nie wdanie się w tę sprawę jego dzikiego towarzysza Leone della Rota. Teraz, w chwili konania, w szaleństwie gorączki duch jego odrzucił wszystkie krępujące więzy! Nic z tego co dawniej wyczuwał, grzebiąc w sobie, nie zdołał już teraz ukryć Antonio Valani.

Biedna Myga! Jakże ona wyglądała tam, klęcząc przy nogach posłania śmiertelnie ranionego Genuńczyka, z rozrzuconymi włosami, biała jak duch, z poranionymi rękami. Znikąd ratunku, znikąd!

Fale Szeldy pochłoneły przyjaciela, który bezsilny walczył przeciwko zgubie ukochanej i pograżył się w zimnej wódzie, aby nie przeżyć hańby!

O Boże! Biada, zbyt ciemna jest noc, zbyt pępne są myśli nieszcześliwej, aby zechciała ona wspomnieć na wielkiego zbawcę we wszystkich niebezpieczeństwach. Żadną siłą na niebie i ziemi nie obroni przed hańbą i wstydem; — biada ci Mygo van Bergen!

Głucho uderzyła na wieży katedralnej godzina jedenasta — powoli następowały poszczególne dźwięki i powtarzały się jeszcze przez chwilę w mózgu dziewczyny.

Znowuż uspokajał się powoli gwar miasta, znowuż wygasalo jedno światło, za drugim za murami Paciotti, włoskiego inżyniera. —

Znowuż głębsza stawała się cisza. Tylko chwilami rozbrzmiewał dziki krzyk i jęk; tylko chwilami rozlegał się szorstki śpiew rozpustnej gromady żołnierskiej lub okrzyk nocnych straży i patroli.

Ponownie ją bić chrapliwie zegar na wieży tumu Najświętszej Marii Panny; — północ!

Uniósł się na poduszkach Antonio Valani, zrzucając wkrąg oszalałe spojrzenia ze swych gorączką płonących oczu.

„Gdzie ona jest? Leone, Leone, — Wina, światła i miłości. Leone, gdzie jesteś, gdzie ona jest? Gdzie trzymasz ją ukrytą? Moją jest ona — o zdracjo, — zdradziecki Leone — moją, moją jest dziewczyna! Hahaha, ja jeszcze nie umarłem, jak ty mniemasz, Leone; — ja żyję i zatrzymam to co jest moje —“

Czoło Mygi van Bergen dotknęło podłogi kajuty; — porucznik della Rota łagodnie ułożył oszalałego na łożu z powrotem i usiłował go wszelkimi sposobami uspokoić; wyglądało, jak gdyby wszystkie siły i namiętności umierającego musiały jeszcze raz w pełnym żarze rozpromienić się, zanim wygasły na wieczność.

Bez przerwy od nowa usiłował szalenie odsunąć ramiona Leone.

„Wszystkie ręce na pokład! za wiosła, za wiosła! Niech żyje król! — tam ukazują swą flagę — flagę włóczęgów morskich, ognia, ognia w nią! Eviva Genova — tam admirał idzie w powietrze — ognia, ognia — piekło, piekło — Leone, strzeż okrętu! strzeż okrętu Leone! — Zapóźno, biada, flaga włóczęgów morskich — do moździerzy — stracone — stracone! Chroń statek, chroń statek, Leone!“

Chory opadł na łożo; porucznik poprawił mu poduszki; potem przystąpił do klęczącej dziewczyny:

„Cóż trwoży was, signora? Podnieście się; — co kłoni was do ziemi? słodka gołąbko, nie martw się tak; królową powinnaś być, nieograniczoną panią na pokładzie tego dobrego okrętu. To jest wojna — jeden musi flagę opuścić, innemu dozwolone jest powiewać nią wysoko na gaflu. Biedny Antonio! On to przepowiedział — dla niego pozostaje grób, dla mnie piękna zdobycz w podziale: — kocham cię, kocham cię, gwiazdo Flandrii, biała różo Antwerpii. Ja kocham cię i zatrzymam przy sobie — zaprzestań oforu — nie patrz tak dziko — jesteś moja i nikt mi cię już nie odbierze!“

„Jan, Jan! Pomocy! ratunku!“ wołała dziewczyna, sama nie wiedząc co wykrzykuje.

„Opuść włóczęgę“, szeptał Leone. „Czyż nie zemścił się już on, czyż nie będzie trupem biedny Antonio za godzinę? Czemuż napawa cię troską ciało żebraka, pozwól mu sunąć na falach, — podnieś się, podnieś się, mówię ci, nie powinnaś swego białego czoła rozkrwawiać o podłogę. Czegóż chcesz? Umarł już włóczęga, zemrze niedługo Antonio Valani;

przyjmij więc Leone, żyjącego Leone, w swe błogosławione ramiona piękna dumna pani.“

„Litości!“ jęczała dziewczyna, lecz porucznik śmiał się.

„Słuchaj, oto pierwsza godzina! O piątej podnosimy kotwicę, do tej pory masz czas wyplakać się; potem jednak precz z narzekaniami i wdychaniem! Do piątej jest dosyć czasu aby umrzeć, biedny Antonio, biedny przyjacielu; — nie podnoś się, twe rany krwawią znów — połóż się, — czegoż chcesz możesz od dziewczyny?”

„Leone, Leone; strzeż okrętu! Czarna Galera — strzeż okrętu! zaskrzeczał umierający w gorączkowym majaczeniu.

„Ba, Czarną Galera!“ zamruczał Leone della Rota, „o piątej godzinie rozpoczyna się polowanie; — spokojnie, spokojnie, Antonio — wszystkim w porządku na pokładzie — nie troszcz się o to, śpij — zaśnij raz.“

Znówuż opadł na pościel kapitan i przymknął oczy. Po ostatnim podnieceniu nastąpiło teraz widoczne ostateczne osłabienie. Był to już koniec Antonio Valani, kapitana Andrea Dorii.

Porucznik dostrzegł to jasno; westchnął i potrząsnął głową.

„Biedny Antonio! biedny przyjacielu, tak szybko musisz zagle zwinąć?! Ach, cóż pomogą skargi, a jednak — chciałbym aby ranek zaświtał już, aby ta noc już minęła! Na otwartym morzu — gdy — gdy ciało znajdzie się za burzą, wtedy będę się czuł spokojny. Pragnę istotnie, aby poranek nadszedł!“

Jał przechadzać się po ciasnej kajucie; kilkakroć mimochodem dotknął nieszczęśliwej Mygi; za każdym razem biedna wdrygała się i cisnęła ciaśniej do ściany.

„Umrzeć, umrzeć!“ szeptała Myga van Bergen, — „o, niechby przyszła śmierć, aby mnie wyratować — niechby mnie pochwytiła śmierć jak pochwytiła ukochanego!“

Lampa groziła zagaśnięciem, Leone della Rota zawołał o nowe światło i o wino. Obydwu potrzebował on tej nocy; wyglądał dziko i pustynnie w swej duszy.

VI

Czarna Galera

Na forcie Liefkenhoek trzepotała się dumnie chorągiew ze lwami Leonu i wieżami Kastylii. Taką chorągiew powiewała na forcie Lillo i na wszystkich innych ogniem mogących zionąć umocnieniach po obu brzegach Szeldy aż do potężnych murów cytadeli antweperskiej.

Czuje oczy trzymały straż na wszystkich tych murach i wałach; zawołanie i odpowiedź wartowników nie milkiły ni w noc ni w dzień.

Bliski i czujny jest także i wróg. Z każdym momentem może się on ukazać. Któż może znać godzinę jego nadejścia?

Na pobrzeżu pieniało się morze. Tam mieszkało na Tholen, na Schouwen, na północnym i południowym Bewelandzie, na Walchern dzikie żelazne pokolenie, które odrazu przysięgło prędzej Turkiem niż papistą zostać, które srebrny półkiężyc na kapeluszu niewygasalną śmiertelną nienawiść przeciwko Hiszpanom w sercu dźwigało. Cóż za młodzież rodziły matki na tych morzem opłynionych piaszczystych diunach! Chronić się wieże Kastylii, trzymaj dobrą straż na bulwarze flandryjskim lwie Leonu; „lepiej zniszczyć kraj, niżli stracić kraj“, — to byli wyspiarscy marynarze, którzy pokonanym Hiszpanom pod Veere, pod Leyden serca z piersi wyrywali, kęsali je i rzucali psom na pożarcie.

„Zryj, lecz wiedz że gorzkie jest ono.“

Na forcie Liefkenhoek, na forcie Lillo, na Cruysschanze, na forcie Perle i Sankt Philipp, na forcie Maria, Ferdinand i Isabella dźwięczało ciągle i ciągle wołanie:

„Trzymaj straż! Trzymaj straż!”

Paszcze ogniowe na brzegu brabanckim, paszcze ogniowe na flandryjskim brzegu są gotowe śmierć i zniszczenie na przechodzący okręt wyrzucić, gdyby je hardo wyminąć chciał, usiłując znaleźć drogę swą ku Antwerpii.

„Trzymaj straż! Trzymaj straż!”

Lecz noc jest ciemna; ani blask, miesięczny ani migotanie gwiazd nie rozjaśnia jej. Ciężko jest dobrą straż trzymać w taką noc.

Jak cicho i ciepło jest! Tylko szmer potężnego prądu dźwięczy wciąż i wciąż i rozlegają się czuwające wołania wojowników na wałach.

„Trzymaj straż! Trzymaj straż!”

Co snuje się od południowego Bewelandu w stronę zachodniej Szeldy, tam gdzie morze i rzeka spotykają się i nie są już do odróżnienia? Co prześlizguje się między falami, poprzez ciemną noc? Setka tajemniczych ramion porusza to; jak strzała wyrzucona z łuku przesuwa się to podobne statkowi — widmo, bliskie latającemu Holendrowi. Potężne ciało okrętu przecina nurt, za nim postępują inne, mniejsze.

Cóż martwić może ludzi z Zeelandii mrok? Oni wiedzą jak znaleźć swą drogę wśród wód, które stanowią ich ojczyznę. Jeden ciemny cień postępuje za drugim; w jednej linii ślizgają się — żaden głos nie rozbrzmia na pokładzie, nawet wiosła uderzają bezszmiernie o fale. Szeptem przepływają słowa rozkazu z ust do ust. Każdy wie, co ma robić, każdy jest zobowiązany ciężką przysięgą swemu najbliższemu nóż w gardło wbić, gdy ten przez szmer lub nieoczekiwany okrzyk zagrozi powodzeniu przedsięwzięcia.

Każdy bezwzględnie przysięgi swej dotrzyma, nawet gdyby to był brat, ojciec, syn, którego by on pchnąć był zmuszony.

Światło na lewo. —

Fort Lillo!

Światło na prawo. —

Fort Liefkenhoek!

Czysto i wyraźnie dobiega wołanie hiszpańskiego wartownika do każdego ucha na pokładzie — Czarnej Galery i towarzyszących jej okrętów.

Każdy nóż, każdy topór do abordażu jest przygotowany — żarzą się ukryte lonty koło moździerzy; — mocno uderzają serca posuwających się ludzi.

„Trzymaj straż! Trzymaj straż!” dźwięczy w dali; wielkie niebezpieczeństwo leży już poza odważnymi marynarzami. Wiwat szczęście morskich wólczógów!

Co migoce z prawej?

Światła wsi i portu Callao.

Co rzuca płomień po brabanckiej stronie?

Światła wsi Ordam.

Jak cicho jest teraz na tym straszliwym miejscu, gdzie most palisadowy Aleksandra Farnese, cud sztuki stulecia, poczęto kiedyś wznosić. Jakiż geniusz świecił tu! Jakaż krew płynęła tu!

Na tym miejscu wyleciał zapalacz Johann Baptiste Plato i Barocci; na tym miejscu wyleciał zapalacz Fryderyka Granibelli i napełnił powietrze, ład i wodę szczątkami i uszkodzonymi ciałami ludzi!

Jeszcze teraz, po tylu długich latach budzi się poniekąd republikańsko nastrojony mieszczanin antwerpski w nocy i mniema że wyrwany został ze swego snu przez huk ogromnej eksplozji, która miała uratować wielkie miasto a nie uratowała nic.

Bezszywnie ślizga się Czarna Galera ze swymi cieniami towarzyszącymi poprzez pełne nieszczęścia miejsce.

„Trzymaj straż! Trzymaj straż!“ rozległy się wołania z szańców San Pedro i Santa Barbara.

Światła Predigerhof! światła fortu Maria, światła fortu Ferdinanda — dzwon, przygłuszony a wspaniały dzwoni w mroku — dzwon z wieży Najświętszej Marii Panny w Antwerpii. —

Druga godzina!

Na swym miejscu stoi kapitan Czarnej Galery z nagim mieczem w dłoni, lecz ktoś inny prowadzi tej nocy okręt i jego załogę.

Gdyby upadł najmniejszy promień światła na twarz wiodącego przestraszylibyście się jego oblicza.

Jan Norris, narzeczony Mygi, która pojmana znajduje się na pokładzie Andrea Doria, Jan Norris, włóczęga morski, który swą narzeczoną pozostawił w przemocy śmiertelnych wrogów, Jan Norris, który nie znalazł śmierci po skoku z galeony genueńskiej, Jan Norris prowadzi w tę noc Czarną Galerę!

Oczy Jana Norrissa widzą w nocy, przebijając mrok jak za najjaśniejszego dnia. —

Ratunek — zemsta!

Strzeż się, Leone della Rota, nieszczęście wylega noc. Uwaga Leone della Rota; to nie jest czas ogłuszać się miłością kobiety i winem sycylijskim! Miej się na baczności na swym statku, Leone della Rota, strzeż się — strzeż przed — Czarną Galerą! —

Na pokładzie Andrea Doria były wszystkie rozkazy wydane i wykonane. Jeszcze trzy godziny i genueński okręt zacznie swą podróż aby połączyć się z czterema uprzednio wysłanymi okrętami pod Biervliet na połów Czarnej Galery. Załoga wykorzystaa krótki czas, który jej pozostał, na spoczynek, nawet wachta na pokładzie spała i lonty ludzi wzdłuż burt wygasły, jak wygasły wszystkie lonty na pokładzie. Czyż nie wystarczająco bezpiecznie spoczywał okręt pod murami miasta i wałami cytadeli?

Od masztu głównego rzuca latarnia okrętowa niespokojne, migocące światło ponad pokładem. Z okien kajuty wychodzi słabe światełko na ciemny nurt Szeldy, który tam w dole je mija.

W kajucie prostuje się nad łóżem Antonio Valani porucznik Leone della Rota.

„Już minęło!“ rzekł „już umarł, słyszysz bella Fiamminga, już zmarł; — kapitanem na pokładzie tego statku jest Leone della Rota! Słuchaj najpiękniejsza; obejmuję moje dziedzictwo — także ty jesteś moja; z ostatnim oddechem mego przyjaciela przypadasz mnie.“

Na nowo napełnił porucznik Spinoli kielich winem.

Czemuż odwracasz się pełna zgrozy, piękna Mygo? On już zmarł i jego serce przestało bić. Lecz moje bije jeszcze dziko i mocno. W pełni był on mym przyjacielem; lecz w miłości z tobą mszczę się jego śmierci. Podniósł kielich i wychylił go do dna.

„Odwiozę cię, biedny Antonio, — na pełnym morzu powinieneś posiadać swój grób odważnego marynarza. Nie na łądzie winniśmy cię grzebać; pod wesołymi falami powinieneś spać, jak to należy się genueńskiemu dziecku. W ramionach pańien wodnych należy ci spać. —

„Łaski, łaski, Święty Boże, ześlij śmierć, uratuj mnie, uratuj mnie!“
jęczała zrozpaczona dziewczyna; lecz pijany śmiał się dziko i przeraźliwie.

„Nie przypatruj się mnie tak, królowo — dzisiaj mnie, jutro komu innemu — to jest wojna, to jest życie. Sądziś, że powinienem płakać i mruzczyć modlitwy jak jaki paroch nad ciałem swego przyjaciela? Ha, gdybyśmy byli na brzegu liguryjskiego morza, moglibyśmy włosy różami i myrtem ozdobić, by święcić piękną noc! Imieniem zemsty, imieniem zwycięstwa, pójdź w moje ramiona dzika żebraczko, pójdź i bądź moją hożą heretyczko.“

Z przeraźliwym wrzaskiem uczepliła się Myga van Bergen podstawy łoża, na którym blade zakrwawione ciało Antonio Valani leżało rozciągnięte. U zmarłego szukała ochrony! Lecz z dzikim śmiechem oderwał ją Leone della Rota od łoża i porwał w swe ramiona. Rozżarzonymi pocałunkami pokrył jej usta i jej nagie ramiona — wtem rozdzwiewał głuchy łoskot upadku nad jego głową, aż lampa u sufitu zadrżała. Krzyk — mocowanie się — drugi upadek — dudnienie i łoskot wielu nóg — dziki wrzask — ostry trzask muszkietu — przerażające, wieszczące nieszczęście wołanie:

„Włóczędzy! włóczędzy! włóczędzy na pokładzie! Zdrada! Zdrada All'arme! All'arme!“

„Co to jest? Diavolo!“ krzyknął porucznik, puszczając dziewczynę i chwytając za miecz. — Z krwawego łoża podniosło się jeszcze raz ciało Antonio Valani, jeszcze raz otworzyły się szeroko stężałe oczy i, spojrzenie ich przykuło porucznika:

„Strzeż okrętu — zdrój — co! Nikczemny —“ struga czarnej krwi strzeliła z ust, opadł Antonio Valani — śmierć wreszcie istotnie trzymała swą zdobycz.

Na pokładzie po upadku pierwszej warty zamieszanie było coraz ogólniejsze i głośniejsze; obłąkany, zaskoczony tłum marynarzy uderzał z pierwszą lepszą bronią w rękę. —

„Za broń! Zdrada! Włóczędzy!“

Przekleństwa — jęk — wołanie o pardon.

Na kolana opadła znów Myga van Bergen, podczas gdy porucznik, wyrwawszy broń z pochwy, pospieszył po schodach kajuty na zewnątrz. Na pomoście odrazu potknął się o ciała i na ziemi leżących. Dziko przefaczał się tu i tam krzyk triumfu Niderlandczyków i straszliwe zawołanie włóczęgów: „Prędzej Turek niż pop!“ było gotowe wziąć górę nad wołaniem o broń straszliwie obudzonych ze snu geneueńczyków.

A ciągle jeszcze wdrapywano się jak koty po ścianach Andrea Doria. Także sąsiednie handlowe okręty i małe statki wojenne wyglądały na napadnięte, gdyż także i z nich podniósł się krzyk bitewny, padały strzały, rozświecały się pochodnie.

Zwątpiały rzucił się Leone della Rota najbliższym wrogom przeciw, okrzykiem i czynem chcąc swych ludzi pobudzić do oporu. W domu strażniczym na molo obudził się bęben i bił hiszpańską pobudką.

„Włóczędzy! Włóczędzy! Włóczędzy przed Antwerpią! Zdrada, zdrada, włóczędzy w mieście!“

Ogień pochodni błąkały się wzdłuż brzegu i rozbłyskały światła w domach za murami miasta.

„Prędzej Turek niż pop! Victoria! Victoria! Czarna Galera! Czarna Galera! Victoria, victoria!“ krzyczeli włóczędzy na pokładzie geneueńskiej galeony, wszystko przed sobą łamiąc. Pardon nie był dawany, co nie było zbite lub zrąbane, zostało wyrzucone za burtę. Słowo: Czarna Galera! napełniło serca Włochów dziką grozą i złamało bardziej niż

wszystko inne ich odwagę. Część uciekła na brzeg, większa część padła na początku napadu: przy maszcie głównym, w zasięgu światła latarni okrętowej walczył jeszcze zrozpaczony krąg. Tu trzymał się porucznik Leone della Rota wraz z najodważniejszymi ze swej załogi i na tym miejscu wreszcie skupiła się cała walka. Już deski były śliskie od krwi i pokryte ciałami: kilku dzikich włóczędzów padło pod mieczem włoskiego porucznika.

„Odwagi, odwagi, dzielni towarzysze — do mnie! Pomoc nądchodzi z łądu! Odwagi, odwagi!“ krzyczał Leone powalając jednego z wyspiarzy na ziemię; lecz na miejscu tego ukazał się nowy walczący, okraczając upadłego.

„Naprzód, naprzód, morscy włóczędzy! Precz z włoską tyranią — precz z flagą hańby! Na dół z nią z masztu! Poznajesz mnie, włoski łajdaku, — tchórzliwy rabusiu dziewczyn?“

„Diavolo!“ krzyknął porucznik, wpatrzywszy się ze zgrozą i podziwem: opamiętał się jednak natychmiast. „Nie utopiłeś się włóczego? A, tym lepiej, — udławisz się więc zimnym żelazem — masz!“

„Masz! Masz! Myga! Ratunek! Zemsta! Masz, ty psie, ruszaj do piekła i pozdrów swego towarzysza od Jana Norrisa, morskiego włóczęgi!“

Na ziemię we krwi upadł Leone della Rota z Genui i Jan Norris postawił powalonemu stopę na piersi, krzyząc mu w twarz:

„Uratowana jest Myga! Zdobyty jest okręt! Opowiedz to w piekle!“

Następnie wbił swemu śmiertelnemu wrogowi nóż w gardło.

Powaleni zostali w tym czasie Genujeńczycy którzy nie zdołali uratować się ucieczką; bój na pokładzie Andrea Doria zakończył się i już rzucili się włóczędzy do łańcuchów, które wiązały okręt z molo.

W kajucie leżała Myga van Bergen bez zmysłów w ramionach Jana, który zabrawszy narzeczoną ze strasznego miejsca od towarzystwa zmarłego kapitana Antonio Valani — wywiódł ją schodami w górę na świeże powietrze.

Jeszcze trwała walka na kilku także przez Niderlandczyków nadpadniętych statkach, lecz już ślizgały się niektóre z nich z prądem, kierowane przez morskich włóczędzów i dziki lecz harmonijny śpiew zwycięzców rozbrzmiał poprzez noc:

„Z niemieckiej krwi pochodzę
Ja, Wilhelm von Nassau,
Ojczyźnie swojej wiernie,
Chcę aż do śmierci trwać.“

Z gniazda Andrea Dorii zatrąbił teraz trębacz Czarnej Galery w ten sam sposób w stronę miasta i dzikim chórem podchwyciła zwycięska załoga:

„Niderlandczyku dobry
Dręczy cię Hiszpan wciąż,
Gdy myślę o tym, chłobrze
Serce me spływa krwią.“

Nawet śmiertelnie ranni włóczędzy podnosili się z ziemi pod działaniem wspaniałych rytmicznych tonów — ci którzy nie mogli już śpiewać, poruszali wargami w takt słów pieśni. Także Myga van Bergen ocuciła się i śmiejąc się i płacząc śpiewała wspólnie z innymi w ramionach Jana pieśń wolności.

„Patrz, dotrzymuję słowa; wśród huku dział i bicia dzwonów, wśród dźwięków trąb prowadzę cię do domu! Uratowana, uratowana!“ wykrzykiwał radośnie Jan.

Z cytadeli rozlegał się jeden wystrzał alarmowy po drugim. Na molo przy dźwigach uderzył bęben a za nim były coraz trwożliwszym wołaniem inne na murach i wałach miasta. I wciąż głośniej budziło się za swymi murami i wałami ogromne flandryjskie miasto, i niektóre uciśnione, gniewne serce biło mocnej pod dźwięk dumnych, zabronionych tonów, które hardo hiszpańskim bębnom naprzeciw piły i ciągle głośniej brzmiały, im więcej tamte zwalczyć je chciały. Do tego dzwony były ze wszystkich wież. Aż wreszcie coś zaczęło grzechotać i chrzęścić, zbliżając się od cytadeli i od strony miasta ku molu; chorągiewki za chorągiewkami tłoczyły się w dół ku rzece.

Lecz ciągle dumniej dźwięczało ponad całym rozgwarem:

„Mą wiarą i mą tarczą.
Ty jesteś Boże mój —
W tobie budować starczy
By się obronić złu.

Pozwól mi wiernym zostać
I służyć z wszystkich sił,
Tyranii moce chłostać
Serce raniące mi.“

Tysiące i tysiące przysłuchiwały się za murami, które Paciotti wokół miasta Antwerpii wybudował, ze słodkim drżeniem tym dźwiękom, również tysiące i tysiące oczu było wilgotnych od łez.

Lecz teraz nie płaciło już dalsze szaleństwo; Czarna Galera przeprowadziła swą najpiękniejszą czynność, obecnie należało zdobyć wojenną zabezpieczyć. Pod strażą ognia z Czarnej Galery powiodło się Janowi Norris, dowódcy na pokładzie Andrea Doria, wydostać na środek Szeldy i ciągnąć powoli pod prąd w dół miasta. Siedem zdobytych mniejszych statków wypłynęło już z okrętami włóczęgów przedtem, Czarna Galera zamykała pochód.

Jakże błyskało i huczało z wałów antwerpskich; jakże odpowiadały okręty włóczęgów i Andrea Doria, który teraz pod banderą włóczęgów zagiął wesoło wydał pod wiatrem porannym i płynął pod prąd, jakże włosy z głowy rwał don Federigo nad tym niesłychanym wyczynem.

Ogień ze wszystkich szanców i fortów wzdłuż rzeki.

„Hoiho! hoiho! szczęście włóczęgów, szczęście włóczęgów!“ cóż obchodziło to włóczęgów morskich czy Hiszpanie dobrze lub źle strzelają? Ranni pod pokład, zabici za burzę — — hoiho, hoiho, tam płomienieje znowuż z Czarnej Galery przed fortem Philipp! Bum — bum, to są szançe Cruy na brabanckiej stronie.

Teraz jednak trzymajcie się dobrze niderlandcy ludzie, ostatni rygiel lecz również najsilniejszy jest do przeskokienia.

W dole we mgle porannej leży fort Liefkenhoek.

W dole we mgle porannej leży fort Lillo

Teraz już czas, włóczędzy! Do mózdzierzy, kto jeszcze nogą lub ręką poruszać może!

Szczęście włóczęgów! Szczęście włóczęgów! — — — — —

Wszystko było już w pogotowiu na Liefkenhoek. Dowódca miał dosyć czasu aby zarządzenia swe doprowadzić do końca: Już o godzinie

drugiej obudził go kapitan Jeronimo. „No, cóż się stało, sennor?” — zapytał pułkownik, a stary wzruszył ramionami mówiąc: „Być może bunt w Callao, może zaburzenia w Antwerpii, w każdym razie proszę was byćście przyszedli na wały sennor.” Gniewny, ukazał się dowódca na południowo-wschodnim bastionie swego fortu i długo nadśledziwał w przestrzeń. W piętnaście minut później bębny znowu wezwały załogę na wały a w godzinę później oświadczył kapitan:“

„Sennor pułkowniku, ja kazałbym wartowników pełniących straż tej nocy rozstrzelać.“ — — —

Jak długo mógł już trwać huk moździerzy wzdłuż Szeldy? Nie dziwota, że wszystko w najlepsze przygotowane było ku przyjęciu Czarnej Galery na forcie Liefkenhoek!

Od swej kompanii zdaleka przechadzał się posepnie kapitan Jeronimo, i im bliżej słychać było ogień, tym posepniejszy był, taki już był jego obyczaj. Od tak dawna już uczestniczył w tej grze, że był nią dostatecznie znudzony — nie, nie znudzony! — aż mu stała się tak obojętna jak — jak własny oddech. Kapitan Jeronimo wzruszył we właściwy sobie sposób ramionami, gdy przybył konny posłaniec poprzez pola z fortu Perle, dostarczając pierwszych, bliższych wiadomości o tym co zdarzyło się pod Antwerpią. Jakże zawzięcie zzymali się koledzy; żołnierz Alby, Requesens i Farnese obrócił się tylko plecami ku posłańcowi i odszedł ku swej kompanii.

„I ten naród mniemają oni ciągle jeszcze do posłuchu zmusić?“ mruczał. „Jak dawno już leży kwiecie Hiszpanii, jądro jej siły, pogrzebane w tej ziemi. Biada ci, biedna ojczyzno!“

Armaty z fortu Cruy przerwały swój monolog. W głębi porannej mgły zaczynało się coś cicho śnieżyć; nie widać było nic na trzy kroki odległości.

„Tak, tak,“ mruczał stary żołnierz, „strzelajcie na ślepo! i słuchaj — tam jest przecież znowu ta przekłeta melodia, pieśń pogrzebowa hiszpańskiej siły i honoru — paff, paff, oszczędzajcie jednak swój proch i tak nim nie zniszczycie ich — tak, tak, strzelajcie więc, strzelajcie, pieśń brzmi przez to tym jaśniej! Do diabła, można się było jej już na pamięć nauczyć!“

Wśród huku moździerzy oraz dźwięku trąb niderlandzkich trębaczy kapitan Jeronimo zamruczał:

„Jam księżę jest Oranii,
Nie chybi wolność mi —
Wszak zawsze król Hiszpanii
Znał słowa mojej czci.“

Jeszcze nie był przy końcu tej zwrotki, gdy kula tuż koło niego uderzyła w jego kompanię, zabijając lub kładąc rannych na ziemię sześciu ludzi. Z galeony genueńskiej przyszła ta kula; Jan Norris na Andrea Doria otworzył ogień w czasie mijania portu Liefkenhoek. Fort odpowiedział natychmiast ze wszystkich swych sił, jednak bez przyczynienia widocznej szkody włóczęgom.

Na pokładzie Andrea Doria stała koło ukochanego Myga van Bergen. Oczy jej błyszczały, cóż obchodziły ją kule Hiszpanów. Nad głowami narzeczonych trzepotała zwycięsko chorągiew włóczęgów, zdarta flaga Spinoli leżała u stóp obydwojga.

„Jeszcze jeden pełny ładunek, chłopcy! Ognia! Ognia! — Ognia! na cześć Mygi mej narzeczonej!“ krzyczał Jan Norris, powiewając kapeluszem. „Idą za burą stęgi?, to nic! hoiho, Myga, słodka narzeczono

— wolne morze! wolne morze! Słuchaj, jak tam Czarna Galera pod Lillo w taniec idzie. Hoiho, hoiho, lepszy Turek niż pop! Wolne morze! wolne morze! O słodka, słodka Mygo, o wdzięczna, kochana narzeczono, jakże Kocham cię!“

„O Janie, Janie, w tak dumny sposób żadna narzeczona nie była jeszcze zdobyta! Ileś ty dla mnie uczynił!“

„Ach, cóż znów?“ śmiał się Jan Norris. „Jakiegoś tam porucznika włochino ubiłem, trupa włochino-kapitana przerzuciłem przez burłę. Czarna Galera uratowała i ciebie i mnie — niech żyje po wszystkich czas imię wielkiej Czarnej Galery!“

„Niech żyje! Niech żyje Czarna Galera!“ wrzeszczała załoga na Andrea Dorii, a dalej z lewej grzmiał czarny statek swą odpowiedź powitalną, przesuwając się pod murami fortu Lillo —

„Nie trudźcie się“, mówił kapitan Jeronimo do kolegów, którzy chcieli go odnieść z wałów. „Pozwólcie mi na wolnym powietrzu umrzeć, lżej będzie mi stąd odejść. Życie dobrze, koledzy, życie wszyscy dobrze — i trzymajcie się mocno. Ja widzę same młode młodzieńcze oblicza koło mnie. Koledzy, życzę wam więcej szczęścia, aniżeli posiadała go stara armia. Myśmy wykonali nasz obowiązek — rozkopcie pola Jemmingen, Mockerheide, Gemblours i Antwerpii — to nie jest nasza wina, że — my — jeszcze — na — starym miejscu stoimy — żyjcie — dobrze — ko — ledzy, — stara — armia idzie w grób! Żyjcie dobrze, i Hiszpania — na zawsze, biedna Hiszpania! ..“

Kapitan Jeronimo był martwy i w głuchym milczeniu stali wokół niego oficerowie i żołnierze załogi fortu Liefkenhoek.

Huk moździerzy umilkł. Szczęśliwie minęły ze swą zdobyczą wszystkie niderlandzkie okręty hiszpańskie umocnienia. Z oddali jednak dźwięczała ciągle jeszcze pieśń z roku 1568:

„Przed Bogiem chciałbym wyznać,
Wzywając Jego moc,
Zem wydał wielokrotnie
O królu wzgardy sąd,

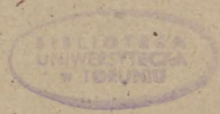
Gdyż Bogu, memu Panu,
Majestatowi nieb,
Posłusznie chciałbym stanąć
I sprawiedliwość mieć.“

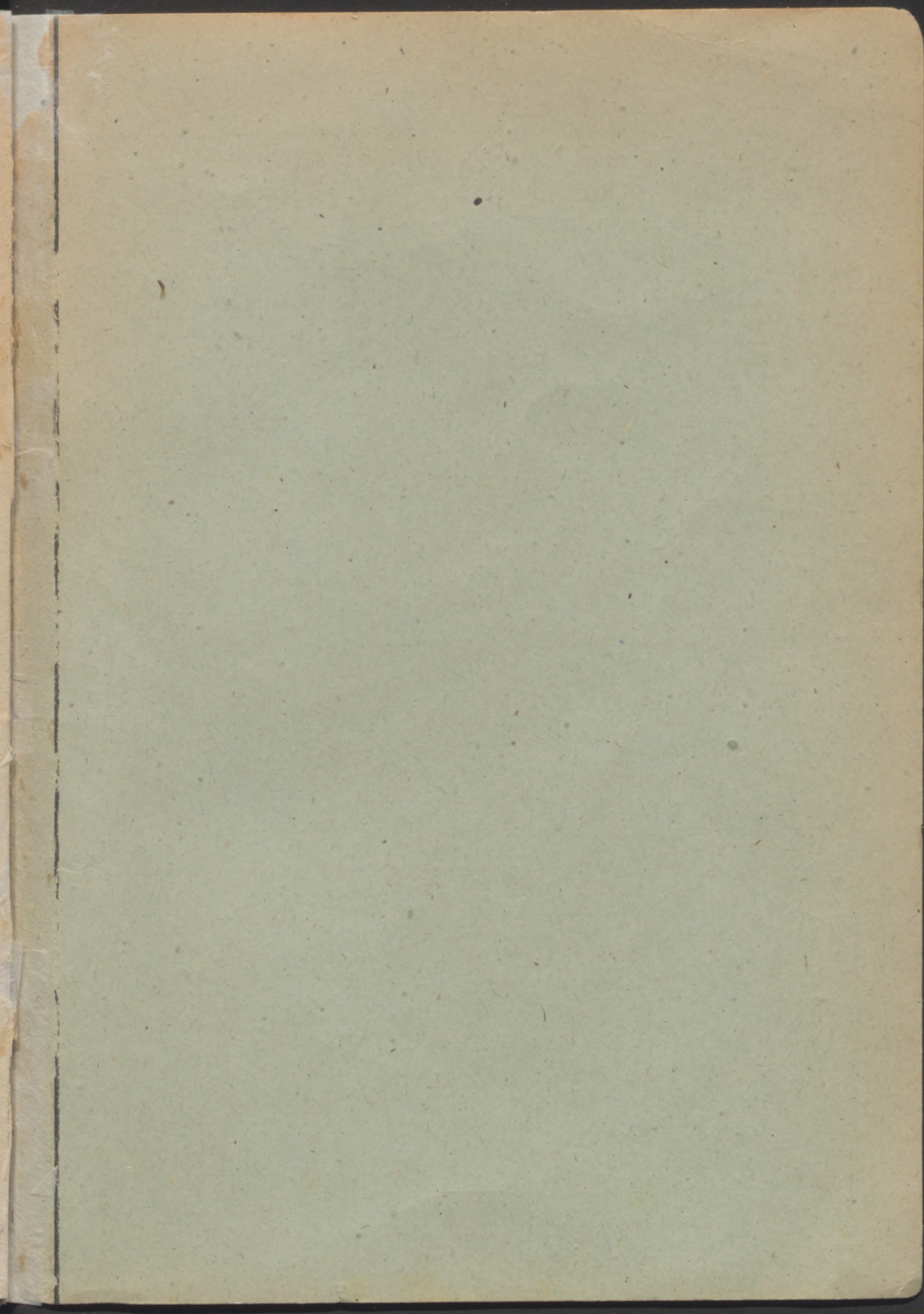
Przestrzeń morską pochłonięła dźwięki, gdy dumna eskadra włóczęgów ze swą zdobyczą, swymi krwawiącymi rannymi i swą glorią, płynąc wzdłuż prądu, wsiąkała w coraz więcej gęstniejącą mgłę.

Biblioteka Główna UMK



300046829897



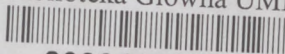


Biblioteka
Główna
UMK Toruń

594211

28

Biblioteka Główna UMK



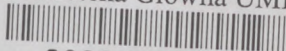
300046829897

Biblioteka
Główna
UMK Toruń

594211

28

Biblioteka Główna UMK



300046829897

